ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPÓŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. KRÓLEWSKA 27 TEL. 152-05.

№ 18

WARSZAWA DNIA 4 MAJA 1913 R.

Służba trzyletnia we Francji — a warstwy ludowe.

Pisma nasze pełne są wieści o entuzjazmie z jakim Francja przyjęła projekt wznowienia służby trzyletniej. Entuzjazm ten wyraźnie ma świadczyć o patrjotyzmie, o gotowości Francuzów do obrony ojczyzny kosztem poświęceń i wysiłków. Na tem tle wystąpienia socjalisty Jaurèsa przeciw służbie trzyletniej nabrały dla pism naszych znaczenia jakiejś nieomal zdrady uczuć patrjotycznych i obrończych. Widziano tylko fakt — nie starano się rozświetlić jego przyczyn i skutków. Za bezkrytycznie notowanym faktem, poszła wersja o wrogim stosunku socjalistów i wogóle żywiołów ludowych do sprawy obrony ojczyzny i do wojny. Wersję tę podtrzymują zwłaszcza nasi domorośli marksiści (patrz korespondencja z Francji w ostatnim numerze „Kuźni“), w których ciasnym interesie leży zawsze wykazywanie sprzecznej z życiem „prawdy“ — o bezwartości interesów narodowo-państwowych dla warstw robotniczych i wogóle ludowych. A zaś nasze społeczeństwo „burżuazyjne“ — i inteligenckie, jest pod wielkiem wpływem tych książkowych teoryjek, co oczywiście przeszkadza mu należycie i bezstronnie ocenić współczesne prądy socjalne, manifestujące się w tak ciekawy sposób na Zachodzie.

Wracając do Francji, prasa nasza zbyt mało zajęła się wyświetleniem stosunku szerokich mas ludowych do zagadnienia wojny z Niemcami. Stosunku tego nie waham się nazwać pełnym zapału i chęci do walki. Nawet „bezojczyźniany“ („le sans patri“) Hervé kończy swą mowę bretońską groźnem: „Jeśli Niemcy zagrożą nam wojną, będę wiedział, co mi czynić należy“. I opowiada się za odebraniem Lotaryngji. Co więcej, opowiada się on za wojną, nawet wtedy, gdy będzie chodziło o kolonje francuskie. „Te które są, zachować należy“ —

Cóż dopiero mówić o znanym z patrjotyzmu Jaurèsie. A oto, co pisze w tej sprawie miesięcznik „L'Emancipation“ — organ innego kierunku ludowego — kooperatystów. „Można rzec, że Francja nie pragnie wojny — że jest bardziej niż kiedykolwiek pokojową — ale jeśli jej wojną zagrożą, cały kraj powstanie, by odeprzeć napastnika. Przygotujmy się na atak naszych sąsiadów“.

Czemu więc przedstawiciele warstw ludowych występują przeciw służbie trzyletniej? Ponieważ nie widzą w niej rozstrzygnięcia sprawy. Służba trzyletnia nie uczyni Francji zwycięską bo nie uleczy zła, które sprawia, że Francuzi *boją się wojny*. Zło to leży w wyludnieniu Francji. Doskonale stanowisko to uzasadnia słynny Karol Gide w ostatnim zeszycie „L'emancipation“ Nie on występuje nawet przeciw służbie trzyletniej. „Pomimo całej okropności, jaką jest współczesny stan Europy, gdzie każdy jest pewien, że sąsiad każdej chwili może mu skoczyć do gardła, i gdzie trzeba być pod grozą śmierci uzbrojonym od stóp do głów — musimy się wszyscy poddać tej strasznej solidarności“. Uzasadnia on tylko bezowocność tego rodzaju środka obrończego jakim jest służba trzyletnia. Obecny stan militarny i polityczny Francji nie jest wynikiem fatalizmu, ani nawet porażki w r. 1870-ym, jest on wynikiem zupełnie określonego faktu społecznego — *wyludnienia*. Bogactwo kraju sprzyja rozwojowi lenistwa i braku odpowiedzialności, za którą idzie *dowolna bezdzietność* zwłaszcza śród warstw wyższych. *) Wysiłek jaki Francja czyni, aby sprostać siłom militarnym Niemiec utrzyma ją na tym poziomie przez jakieś lat 20, bo ludność Niemiec wzrasta w stosunku 13 %, więc wzrasta również ilość ludzi, którzy mogą być powołani do szeregów. Można powiedzieć, że Niemcy są w stanie zwiększać swą armję corocznie o 10 tysięcy ludzi, czyli o 200,000 w ciągu 20 lat. Aby przez 20 lat utrzymać taką samą armję Francja wobec swej postępującej wciąż depopulacji, będzie musiała przedłużyć służbę wojskową do 4 lat, w ciągu następnych lat 20-tu — do lat 5-ciu — dalej do sześciu, siedmiu i t. d.

---

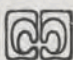
*) J. Martenot — w monografji swej o departamencie Côte d'or — wykazuje, że plaga ta rozpowszechniła się również śród warstw ludowych.

Tymczasem, pominąwszy już niedorzeczność tego rodzaju „nadymania się gdy niema czem“, każde przedłużenie służby wojskowej ma za skutek wzrost podatków o jakieś 3 do 400 miljonów, oraz opóźnienie wieku, w którym człowiek może utrzymać się samoistnie i zarabiać, czyli wogóle stwarzać bogactwo kraju. Kraj zadaje więc sobie dwie rany; zwiększa podatki, a zmniejsza dochody. Zmniejszenie bogactwa nie pozwoli Francji, nawet tej, z takim trudem zdobytej armji na należytym poziomie utrzymać. Z drugiej strony opóźniając ożenek i karjerę młodzieńców, wpływa przedłużenie służby na bezdzietność, na rozprzężenie rodziny. W rezultacie więc mnoży jeszcze całe to zło, z którego wynika obecna słabość Francji.

Stąd jedynymi środkami obrony dla Francji dla ludzi czujących istotną odpowiedzialność za dzieje narodu, są przedewszystkiem: zwiększenie wewnętrznej siły narodu, przez zwiększenie jego liczby — a potem na miejsce armji stałej, pochłaniającej olbrzymie sumy, *armja narodowa*, wzorowana na szwajcarskiej, mniej kosztowna a silniej przeniknięta duchem poświęcenia i miłości ojczyzny. To jest projekt Jaurèsa — szeroko uzasadniony w jego prześlicznej książce „L'armée nouvelle“.

Ale bogate, zmaterjalizowane sfery Francji patrzą bliżej. Dla nich interesy narodowe kończą się tam, gdzie się zaczyna ich ...kieszeń. Nie przewidując zwycięstwa, dążą one do tego, co im bez wojny, może choć częściowo korzyści zwycięstwa zastąpić—dążą do *zbrojnego pokoju*. Ale ten zbrojny pokój, to straszliwy ciężar włożony na barki warstw uboższych. Te chcą być gotowe, nie do kosztownego uzbrojenia tylko, ale istotnie *do wojny*.

M. Dąbrowska.



Legenda o śmierci Napoleona.

Fantazja ludzka osnuwa powieścią i legendą każdą wybitniejszą jednostkę dziejową, Mimo sprawdzone naukowe fakty, mimo niezbite napozór dowody, legenda umie nawet zgromadzić materjał, mający pozór naukowy i tworzy zeń całość nieraz wysoce interesującą.

Niedawno właśnie literat francuski p. Alberic Cahvé zestawił w „Temps“ historyczny niby materjał, mający dowieść, że cesarz Napoleon nie umarł na wyspie św. Heleny. Przedstawia się on następująco.

Gdy w 1821 r. rozeszła się po świecie wieść o śmierci Napoleona, społeczeństwo francuskie przyjęło ją z dziwną obojętnością. Tłumaczy się to przez powszechne przekonanie, że prawdziwy cesarz nie został zesłany na wyspę św. Heleny, stan zatem owego wygnańca nie mógł nikogo poruszyć. Przekonanie to opierało się na pogłoskach, które z czasem przybrały nawet formę pewnej całości logicznej.

Pierwszym „niezbitym“ dowodem są pamiętniki agenta policji śledczej Ledru, wydane w Leodjum w 1840 r.

Ledru opowiada, że pewnego razu minister policji Fouché polecił mu wyszukać sobowtóra Napoleona, aby w razie potrzeby módz go podstawić na miejsce cesarza. Ledru z pomocą pewnego pułkownika piechoty rychło zadosyć uczynił rozkazowi ministra, gdyż w szeregach znajdował się żołnierz uderzająco podobny do „małego kaprala“ i sławny z tego w pułku i rodzinnej okolicy. Był to niejaki Franciszek Eugenjusz Robeau, urodzony w 1781 r. w miasteczku Balaycour pod Verdun. Ledru przedstawił szeregowca Fouché'mu, ten zaś cesarzowi.

Nieco dalej spotykamy w pamiętnikach Ledru następujący ustęp:

„Do 1816 r. nic nie słyszałem o Robeau. W 1816 r. mer z Balaycour zameldował policji Ludwika XVIII o zniknięciu Robeau, który już od roku przeszło nie dawał znaku życia. Rozpoczęto śledztwo, lecz sprawę wkrótce zatuszowano. Zawsze przypuszczałem istnienie jakiejś tajemnicy w tej sprawie“.

Na „tajemnicę“ tę rzucają pewne światło zeznania i notatki innych świadków. Najpierw odezwała się miss Monde Ella Ricci, dobrze znająca cesarza. Miała ona sposobność widzieć Napoleona na wygnaniu i nie poznała go. Uderzyło ją tylko, że towarzyszący cesarzowi generał Bertrand i lekarz O'Meara traktują więźnia z góry, on zaś odpowiada im pokornie i ulega w zupełności.

W ślad zatem niejaki Petruccio, jubiler z Werony podaje, że w 1816 r. w sąsiedztwie jego sklepu otworzył zakład optyczny jakiś człowiek, który odrazu zyskał sympatję i szacunek całej dzielnicy. Człowiek ten przeszło pięćdziesięcioletni był tak podobny do Napoleona, że nie nazywano go inaczej jak Buonaparte.

Optyk ów mieszkał w Weronie do 1823 r., prowadząc przez cały czas swe przedsiębiorstwo, w owym zaś roku przyszedł do Petruccio i, oddając mu kopertę zapieczętowaną kilku pieczęciami, powiedział: „Jeżeli w ciągu trzech miesięcy nie wrócę, proszę odesłać ten list królowi Francji“.

Petruccio zastosował się do słów optyka i po kwartale wysłał kopertę pod wskazanym adresem. Wkrótce do Werony przyjechał specjalny delegat policji pałacowej francuskiej, który uporządkował spuściznę optyka, a jubilerowi wręczył przekaz na 100000 franków z prośbą o dochowanie sekretu. Petruccio był najzupełniej pewny, że tajemniczym optykiem był cesarz Napoleon.

Pozatem istnieją jeszcze prawie urzędowe świadectwa. Adwokat Karol Fryderyk Arnstein, zamieszkały w Schönbrunie, gdzie wychowywał się syn Napoleona, ks. Reichstadt'u, zanotował pod datą 5 września 1823 r. taką wiadomość:

„Ubiegłej nocy, jakiś nieznany mężczyzna chciał przeleźć przez mur ogrodu pałacowego. Wartownik wystrzelił do niego, raniąc go śmiertelnie. Nieznajomy zmarł, powtarzając: „książę Reichstadt'u... król... syn...“ Przy zabitym nie znaleziono żadnych dokumentów, stwierdzających jego osobistość, musiał to być wszelako francuz, gdyż ambasador francuski, dowiedziawszy się o wypadku, bardzo był wzruszony i zażądał wydania zwłok“.



Złośliwa niemiecka karykatura, wyobrażająca Napoleona, jako „wielkiego grabarza“.

W księgach ludności gminy Balaycour znajduje się lakoniczna notatka, że stały mieszkaniec tego miasteczka, żołnierz Robeau zmarł na wyspie św. Heleny, lecz data śmierci jest nie wpisana, czy też wyskrobana z czyjegoś polecenia. I oto z tych urwanych wiadomości układa się dramatyczna legenda.

Gdy w 1815 r. Napoleon oddał się na łaskę Anglji, przewieziono na wyspę św. Heleny sobowtóra jego, owego szeregowca Robeau. Przypuszczenie to potwierdza się przez fakt, że, jakkolwiek cesarz miał nawet po upadku licznych wiernych zwolenników, towarzyszyć wygnańcowi chciało paru zaledwie, a pojechał jeden tylko Bertrand, celem zachowania pewnych pozorów.

Cesarz tymczasem uciekł do Włoch i ukrywał się w Weronie jako optyk, lecz miłość ojcowska zgubiła go. Za wszelką cenę pragnął zobaczyć się z synem, lecz kula austrjackiego żołdaka zwaliła go prawie u samego celu...

Tyle p. Alberic Cahvé. Przyznać należy, że całość opowiadania klei się nadzwyczaj składnie i... romantycznie. Być może nawet, że autor zadając sobie benedyktyńską pracę zebrania rozproszonych danych, wierzy w nie, a przynajmniej skłonny jest do przypuszczenia, że tak być mogło.

m. w. r.

LISTY Z BAŁKANU.

(Własna korespondencja „Złotego Rogu“).

X. NISZ CZY BELGRAD?

(Stary problem stolicy serbskiej nasuwa się z nową siłą. Dwa argumenty Argument geometryczny. Argument polityczny).

Nisz jest miastem starem, opromienionem aureolą zamierzchłej świetności mocnych carów Serbskich, którzy stąd przez pewien okres ziemiom swoim panowali i — sromem tureckiej przemocy, która go sobie obrała za siedzibę paszalikatu i gniazdo obronne swej łupieżczej potęgi.

Dzisiaj ma około 30,000 mieszkańców, silne szańce, cudowne góry i — duże pretensje: chciałby zostać—stolicą! Ni mniej ni więcej, tylko stolicą! stolicą całego królestwa!

I co ciekawsze, że ma dane po temu: dane rzeczowe i dane z tradycji.

Już zaraz od chwili powstania małego ksiąstewka przeniesienie stolicy z Belgradu do Niszu było niejednokrotnie proponowane, jako że już wówczas Belgrad, narzucony serbom na stolicę przez kongres berliński, miał swoich nieprzejednanych nieprzyjaciół, a Nisz wymownych i możnych zwolenników, do których zaliczał się prezydent ministrów Garaszanin i wielu mężów stanu i polityków.

Dopiero w latach bieżącego wieku, w niespokojnych czasach rewolucji, aneksji i wojennego rozgwaru, spór o stolicę przycichł był zupełnie. Zdawało się nawet, że zwycięstwo naddunajskiego grodu jest już ostatecznie ugruntowane — i naddunajski gród zacierał też ręce i głosił ostateczny tryumf nad zarozumiałym konkurentem.

Tymczasem teraz, po skończonej wojnie, problem społeczny z nową siłą narzucił się uwadze społeczeństwa. Nie wszedł jeszcze na pole dyskusji publicznej, bo nie czasy po temu ani sposobność, ale w umysłach myślącej części narodu nurtuje coraz głębiej i coraz wyraźniej i skoro tylko wyglądany spokój powróci, stanie się znowu przedmiotem starć i namysłu.

Sytuacja bowiem, jaka się po zawierusze bałkańskiej wytworzy, da zwolennikom Niszu nowe pożywienie — a mianowicie dwa tęgie argumenty.

Pierwszy argument — to nowa konfiguracja królestwa.

Już nawet i w dotychczasowych rozmiarach państwa, stolica była — rzecz biorąc geometrycznie — bardzo nieszczęśliwie umieszczona. Wystarczy spojrzeć na mapę, aby się o tem dowodnie przekonać.

W ogólnych zarysach przedstawi się nam Serbja jako trójkąt, którego podstawa opiera się o Dunaj, a zwężające się ku południowi ściany zbiegają się w skośny nieco wierzchołek, wdzierający się klinem w głąb Bałkanu.

I stolica tak uformowanego państwa, zamiast pozostawać w środku trójkąta, lub możliwie blisko jego centrum, leży na linji jego podstawy! nad samym Dunajem! To znaczy na samym północnym krańcu królestwa!

Przenosząc ten stan rzeczy drogą porównania na którekolwiek z państ europejskich, otrzymalibyśmy n. p. Włochy z miastem stołecznem, schowanem w Alpach, tuż nad granicą austryjacką, gdzieś nad *Lago di Garda* czy *Lago di Como*, albo dawną, Rzeczpospolitą polską ze stolicą—w Smoleńsku!

Wszak po przyłąceniu olbrzymich stosunkowo obszarów, świeżo na Turcji zdobytych, państwo Piotra, przybrawszy kształt prostokąta, wydłuży się *w dwójnasób* w kierunku południa.

Słowem, już w teraźniejszych rozmiarach Serbji, terytorjalny stosunek stolicy do kraju był wysoce niedogodny.



Wojska serbskie biwakują podczas zawieszenia broni.

W nowych zaś granicach stanie się wręcz niedorzeczny!

Nie jest chyba dla nikogo tajemnicą, że Serbja, *o ile tylko nie będzie miała zbyt ciężkich kłopotów z własnym sprzymierzeńcem to znaczy z Bułgarją i o ile racje polityczne* nie każą jej zapanować nad *uczuciami* — cały impet swej młodości, cały rozmach swej siły i swych pragnień zwróci ku północy — ostrzem przeciw Austrji, przeciw ostatniemu, jedynemu dziś zaborcy swych ziem rodzonych.

A gdy Serbja będzie miała pójść „na Szwaba", gdy jej najbliższa orjentacja polityczna będzie miała być zwrócona przeciw Austrji — *stolica nie będzie mogła pozostać w Belgradzie* pod paszczą stufuntowych dział skierowanych w samo serce kraju, pod lasem najeżonych bagnetów, błyszczących w słońcu po przeciwnym brzegu Dunaju.

Pamiętam, jakiego dziwnego uczucia doznawałem nieraz, w czasie mego pobytu w Białogrodzie, gdy w zgiełkliwe roznamiętnione tumulty uliczne, pełne pogróżek pod adresem Austrji, wpadały z nienacka, jak macki potwora macającego swą zdobycz, oślepiające strugi światła, padającego z austrjackich monitorów, krążących nocą po Dunaju — gdy sobie uzmysławiałem, że kilka minut nieledwieby starczyło, aby cały Białogród — stolica królewska! — runął w gruzy pod deszczem pocisków wyplutych z twierdzy zemuńskiej, tuż, tuż, na stajanie, na przeciwległym brzegu rzeki sterczącej.

Dlatego Serbja, jeśli pójdzie „na Szwaba" będzie musiała przenieść stolicę do Niszu!

Ale czy Serbja pójdzie... „na Szwaba?!"

Pytanie równie trudne, jak ciekawe — na które będę się starał dać odpowiedź w następnym „Liście".

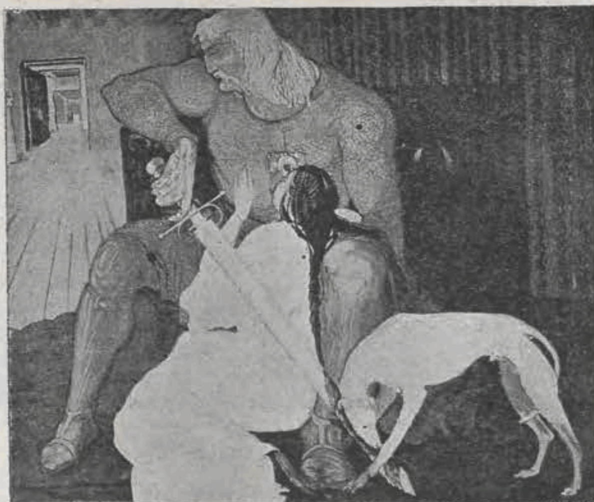
Mieczysław Jełowicki.

DWIE WYSTAWY.

Jeżeli na wystawę „Młodej Sztuki" zabłądzi przypadkowo jakiś dozgonny wielbiciel starego malarstwa, powiedzmy, jakiś entuzjasta na temat Simlera czy Siemiradzkiego, to, nie ulega kwestji—rozczaruje się i zdziwi. Trzeba być z góry przygotowanym, że ów I-szy Salon nowej korporacji artystycznej odskakuje zasadniczo od dotychczasowych programów malowania, że jest naprawdę czemś zupełnie innem czemś, o odmiennej fizjonomji. Nareszcie.., Nareszcie odsłonięta przyłbica, z pod której wytryska niezależna bujna młodość... Nareszcie barwy gorące, żywe... Nareszcie...

Przyjrzyjmy się zatem obrazom. Zaczynam od prezesa „Młodej Sztuki" Tadeusza Pruszkowskiego. Jego kompozycjom mocnym w założeniu, brak może właśnie tej absolutnej mocy, ale jako takie pociągają rozmachem koloru i stylem, zda się niewspółczesnym przy całej współczesności pojmowania tematu. Następnie „Martwe natury" Czesława Młodzianowskiego, to już pierwszorzędne prace, bardzo silne, harmonijne, wykwintne i dyskretne w tonie— wogóle może najlepsze, jakie widziałem ostatnimi czasy, w każdym razie stawiające artystę bardzo wysoko.

Zawsze, od najdawniejszych lat, interesował mnie Rom. Witkowski z przyjemnością więc powitałem jego barwne impresje, te może najbardziej nie kłaniające się odwiecznym kanonom sztuki. Witkowski jest pokrewny Goguinowi, ale, mimo to, ma własny profil artystyczny, jest sobą, dosłownie „sobą". Aleksander Świdwiński wystawił „Olimpję", bardzo intensywny kolorystycznie akt kobiety w pończochach, malowany z poczuciem harmonji, utwór nawskroś modern i nawskroś indywidualny. „Deszcz", tegoż artysty, świadczy o jego dużych umiejętnościach i temperamencie. Dalej Jerzy Zaruba, autor „Niedokończonej kompozycji" odsłania nam zakątek wykwintnej restauracji, gdzie jakiś zblazowany młodzieniaszek nudzi się z jasnowłosą pięknością. Zastanowił mnie Zaruba. Jego wewnętrzny świat ma tysiące fosforyzujących świateł, jego koncepcje są głębokie i treściwe, jego dusza przeczulona łamie się w półtonach ironji, czy smutku. Kazimierz Brzeziński, z benedyktyńską cierpliwością haftuje swe misterne koronki, zaludniając papier elegją żałobnych pierrotów i masek. Billauerówna, Buharewiczówna i Rejcher - Centnerszwerowa dały o różnych tematach prace, świeże, może czasem zbyt młodociane niedociągnięte, ale zdradzające odrazu istotę prawdziwych talentów. „Cerkiew na placu Saskim" Alfreda Millera przypomina mi coś z północnej sztuki wielkich Rosjan. Lubię spokojne płótna Marjana Szymanowskiego, z których tchnie ciepło różowego zachodu, jakaś beztrosna pogoda i cisza. Wreszcie Wacław Zbigniew Czerny, pierwszorzędny rysownik, znany z „frontów" „Sowizdrzała", wystawił szereg doskonałych drzeworytów i grafik, a



Tadeusz Pruszkowski. (Wyst. „Młodej Sztuki".) **Bolesław Śmiały.**



Jerzy Zaruba. („Wyst. „Młodej Sztuki".) **Kompozycja.**

jako taki przoduje wśród młodej generacji. Na tem zamykam przegląd utworów „Młodej Sztuki", zaznaczając z radością, że powodzenie wystawy dowodzi o niezupełnie wyjałowionych upodobaniach syreniego grodu.

Teraz „I-sza Wystawa jednobarwna", urządzona staraniem koła artystycznego, a sama przez się tak zasadniczo odskakująca od kolorystycznej „Młodej Sztuki". Zgrupowały się tu najcenniejsze nazwiska naszych „uczonych" że wymienię tylko: Matejkę, Grottgera, Siemiradzkiego, Brandta, Simlera, Wyspiańskiego, Chełmońskiego, Gierymskiego, Żmurkę, Fałata, Podkowińskiego, Pruszkowskiego, Mehofera i Gersona. Rysunki przeważnie maleńkie wiszą w wytwornie przyozdobionym kobiercami lokalu, nasuwając nam wspomnienia tytanów z krakowskim Janem na czele. Zaś prócz tego cały zastęp młodych twórców, zgrupował się tłumnie. Ś. p. Witold Wojtkiewicz, jeden z najgłębszych polskich artystów ma tu też swój kąt pozagrobowy. Mocne brawurowe, niemal mistrzowskie, portrety Konrada Krzyżanowskiego, imponują potężnym rozmachem. Zastanawia jak zwykle świetny odtwórca wnętrz Leon Wyczółkowski, zastanawia Kamiński, Okuń, W. Tetmajer, Weysenhoff i Kossak i chyba tylko prace Jeski, niemające nic wspólnego ze sztuką, psują ogólną całość tak harmonijnej wystawy. *St. J. K.*



Witold Wojtkiewicz. (Wyst. jednobarwna.) **Wodzirej.**



Stanisław Wyspiański. (Wyst. jednobarwna.) **Studjum.**

Z TYGODNIA.

Pożądanie sensacji. — Tajemnicza zbrodnia w Teresinie. — Ofiara niebezpiecznego zawodu. — Lot: Paryż — Berlin a może i Warszawa. — Wykopaliska... w warsz. ogrodzie zoologicznym. — Zmarli uczeni. — 20-lecie Tow. polsk. dziennikarzy we Lwowie.

Wrażliwość ludzka w kierunku sensacji dochodzi dziś, w czasach elektryczności i pary, do coraz to większego napięcia. Szybkość komunikacji wpływa na podrażnienie naszej ciekawości, pragniemy informacji błyskawicznych, prędko po sobie nadchodzących, wytwarza się w nas jakby *kalejdoskopowość*—zmiana i zmiana obrazów, zaś ciągła zmiana, drażniąca, ba — rozstrajająca nieraz nasze nerwy, pobudza ciekawość przyszłego z chorobliwym jej objawem pożądaniem przedewszystkiem sensacji. Stało się — jest sensacja i rozumie się znajduje już dla siebie świetne przewodniki w spragnionej tego publiczności, każdy nerw, niby znakomity odbieracz, wchłania w siebie te wszystkie niezdrowe drgnienia życia, jak trucizna zazwyczaj działające na psychologję jednostki i—tłumu. I tu, rozumie się, zależne wszystko jest od dawki, lecz śmiało można twierdzić, że niechby miara była taka, jakiej pragnie tłum—stanowczo wówczas takby się w końcu rozszalały instynkty, iż wszyscy ci dobrzy nasi sprzymierzeńcy jak etyka, estetyka i moralność, wobec rugów sensacji, rychło musieliby nas opuścić, zniewoleni do tego siłą „wyższą" idącą... z bagniska i rynsztoka.

Trzeba się zgodzić, że źle robi spekulacja na papierze i w druku, rozdmuchując sensację, to też tysiące tysięcy zbytecznych wierszy łatwo się daje sprowadzić do... kilkudziesięciu tylko — i tego samego może z nich dowiedzieć się czytelnik co opiewały owe, nieskończenie długie *Iljady* i *Odysseje*, na których pochłonięcie tyle się drogiego czasu straciło!

Sensacją ostatnich czasów było rozumie się tajemnicze zamordowanie księcia Władysława Druckiego - Lubeckiego, napisano już o tem całe tomy, a poza samem tylko stwierdzeniem zabójstwa literalnie niczego więcej się nie dowiedziano, jak tylko, że ks. Lubecki wyjechał na przejażdżkę po parku w majątku Teresinie z gościem swym, ordynatem Bispingiem,



Pałac w Teresinie w dobrach ks. Lubeckiego.

którego jednocześnie miał odwieźć na kolej, że znaleziono księcia w kilka godzin później zamordowanego w ustroniu parkowem z trzema ranami postrzałowemi i kilkunastoma tłuczonemi, że konie z pojazdem, którym książe powoził był bez stangreta, stały przywiązane o kilkadziesiąt kroków dalej. Tyle co do samej zbrodni. A dochodzenie sądowo-policyjne? Przesłuchano najważniejszego świadka, towarzysza ostatniej przejażdżki księcia, ordynata Bispinga i dowiedziano się od



Ś p. Władysław ks. Drucki-Lubecki,
ofiara tajemniczego mordu.

niego tych tylko, zresztą ważnych bardzo szczegółów, że gdy obaj panowie jechali, podeszło do nich paru ludzi z oświadczeniem, że mają bardzo ważny i naglący interes do księcia, proszą więc o chwilę rozmowy z nim na osobności; ordynat Bisping, który spieszył się na kolej, pożegnał się wówczas z swym towarzyszem i pieszo przeszedł dzielącą go wiorstę od stacji Teresin, spóźnił się jednak na pociąg, zatem udał się również pieszo do następnej stacji, Błonia, zależało mu bowiem bardzo na prędkim wyjeździe tegoż jeszcze dnia, wobec ważnego, terminowego interesu, który miał w Grodnie.

Pierwszym więc odchodzącym ze stacji tej pociągiem wyjechał do Warszawy i następnie w dalszą drogę, skąd—wezwany jako świadek—stawił się zaraz w Teresinie. Oto wszystko, a prócz tego jeszcze tajemnicze okradzenie opieczętowanego pałacu w Teresinie. Krążą wersje i domysły—a wszystko hypotezy bez podstaw i potwierdzenia, mimo aresztowania nawet w ostatniej chwili ordynata Bispinga.

Tak, domysły są najfantastyczniejsze, w każdym jednakże razie wszystkie podejrzenia, do których aż nadto pochopna jest nasza publiczność — dotychczas jeszcze nie mają pozytywnej podstawy i są tylko wytworem złej wady, jaką jest lekkomyślne posądzanie na zasadzie domniemań i przypuszczeń. Nie tędy droga, moi panowie i bynajmniej nie jest wykluczone, że droga, po której może władze śledcze dojdą do źródła tajemnicy, okaże się inna niż ta, którą sobie wytknęły podniecone sensacją tłumy.

Dotychczas więc jedna tylko rada pozostaje: czekajmy cierpliwie na ostateczny wynik sprawy.

W każdym razie stało się zadość pożądaniom tłumów—sensacja była, to też w wieku pary i elektryczności a dodałbym jeszcze — benzyny (automobile i aeroplany) wchłaniano ją wszystkiemi ssawkami, które zdaje się znakomitą sprawność w tym kierunku wykazały.

Wiek benzyny... i tu wciąż nowe, lecz innej zupełnie natu-

ry sensacje; aeroplany, powietrzne swe władztwo coraz bardziej ustalają, wciąż nowe rekordy, nowe podboje. I tu są trupy, lecz po tych trupach dochodzi się do zdobyczy wielkich, nie-



Lotnik Abramowicz,
zabił się, spadłszy na lotnisku pod Berlinem.

ocenionych dla społeczeństwa. W tych dniach właśnie, rodak nasz, znakomity lotnik, Abramowicz, który w swoim czasie odbył wspaniały lot z Berlina do Petersburga, padł ofiarą swego zawodu, wzbiwszy się w przestworze na placu lotniczym w Johanenstahlu pod Berlinem. Nieszczęśliwego lotnika, po upadku, który nastąpił wskutek zepsucia się motoru, wyciągnięto bez życia z pod szczątków aparatu.

W tym czasie drugi lotnik, Daucourt, zdobył znów wielką nagrodę „Pommery" za lot rekordowy z Paryża do Berlina, a dwaj lotnicy—Andermais i Letors, gdy piszemy te słowa, wyruszyli do... Warszawy, żeby tu u nas w syrenim grodzie, zdobyć palmę za ten nielada rekord długości lotu. Przekonamy się wkrótce, czy uda



Lotnik Dancourt,
zdobył wielką nagrodę Pommery, przeleciawszy z Paryża do Berlina.

się to trudne przedsięwzięcie. Trudności najfantastyczniejszych nawet rekordów lotniczych są jednak błahostką w porównaniu z trudnościami, przy urzeczywistnieniu jakichkolwiek szerszych zamierzeń, które pragnęłoby się wprowadzić w życie w naszej Warszawie. Lata całe, lata czekać trzeba zanim cośkolwiek się zdobędzie, gdy za granicą korzystne dla społeczeństwa urządzenia wprowadzane są z zadziwiającym pośpiechem. Ileż to razy wzdychamy o dworzec centralny, centralną rzeźnię, o ostateczne nareszcie otwarcie 3-go mostu, o elektryczne koleje podmiejskie i... o ogród zoologiczny! Prawdopodobnie, że wówczas gdy nastąpi otwarcie ogrodu zoologicznego w naszym grodzie, obecnie żyjące na świecie okazy zwierząt już wyginą, jak ongi wyginęły mamuty, a ogród stanie się wówczas muzeum, w którem zamiast żyjącego zwierza, będą ludzie zapewne oglądać w klatkach szkielety wykopalisk dawnych lwów, tygrysów, niedźwiedzi, wilków

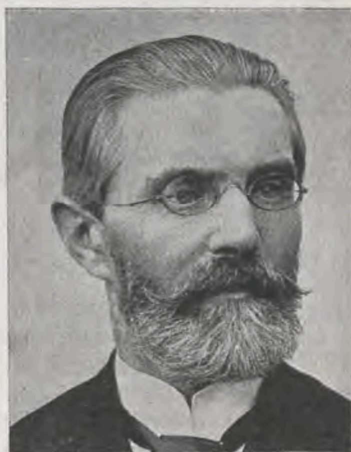


Karol Hagenbeck,
słynny badacz fauny egzotycznej, założyciel ogrodów zoologiczn. zmarł w Hamburgu.

i t. d., żywą zaś faunę ówczesną, (dla której zapewne i w Warszawie będzie projektowany wtedy nowy ogród zoologiczny), będą ludziska oglądać w innych miastach, rozumie się — jak i obecnie — z Hamburgiem na czele. Ha, trudno nie mamy widać takich Hagenbecków, jak zmarły właśnie w ubiegłym tygodniu w Hamburgu słynny badacz zwierząt egzotycznych i założyciel największego chyba na świecie ogrodu zoologicznego w Stellingen, oraz szeregu innych ogrodów i słynnej, zoologicznej stacji doświadczalnej na wyspie Brioni.

W uznaniu zasług na tem polu, obdarzono Hagenbecka wieloma odznaczeniami nietylko w Niemczech, lecz i w innych krajach.

Nie możemy pominąć i u nas śmierci tak zacnego, zasłużonego i światłego człowieka, jakim był ś. p. dr. Juljusz Robert Diehl. Wychowaniec b. Szkoły głównej, zmarły oddał się zawodowi lekarskiemu, zyskawszy sobie sławę, jako znakomity lekarz chorób skórnych i wenerycznych, to też niebawem powoła-



Ś. p. dr. Juljusz Robert Diehl.

ny został na stanowisko ordynatora szpitala św. Łazarza, na którem pozostawał przez 35 lat aż do wysłużenia emerytury. W uznaniu wiedzy, zasług i powagi, powołano w swoim czasie ś. p. Diehla na stanowisko prezesa konsystorza ewangelicko-reformowanego w Warszawie. W spuściźnie po zmarłym zostały się liczne prace w zakresie naukowym jego specjalności.

Bieżący tydzień przyniósł nam w końcu nader sympatyczną uroczystość którą święciło w dniu 20-lecia Tow. dziennikarzy polskich we Lwowie. Tow. powstało w r. 1893 wśród wielu trudności natury materjalnej a pozatem wśród niezgody nawet, nie wszyscy bowiem dziennikarze solidaryzowali się wówczas z tą zasługującą przecież na poparcie inicjatywą.

W końcu jednak udało się, dzięki zabiegom i pracy inicjatorów, powołać do życia instytucję, której zasługi najbardziej nieprzejednani w parę lat później już ocenić mogli. Obecnie instytucja liczy stosunkowo bardzo wielką ilość członków i rozporządza majątkiem 400,000 koron. Chyba dowodzić niepotrzeba ile dobrego przynosi swym członkom, poza bowiem łączni-

kiem towarzyskim, wspiera również pomocą swą tych, którym nieraz ciężki chleb dziennikarski na najmizerniejsze wyży-



Adam Krechowiecki,
prezes Tow. dziennikarzy polsk. we Lwowie.

wienie nie starczy, szczególnie gdy nawiedzi choroba lub inne jakie nieszczęście. Prezesem Towarzystwa jest obecnie Adam Krechowiecki znany i znakomity powieściopisarz, dramaturg i dziennikarz. *Scriba.*

Miecz i dyplomacja.

Dyplomacja bez głowy. — Układ turecko-czarnogórski.—Essad-pasza i niezależna Albanja.—Słów kilka o polityce austrjackiej.—Zagadka trudna do rozwiązania.—W oczekiwaniu wypadków.

Jeszcze jedna niespodzianka spotkała dyplomację austrjacką. Doprawdy, pod takim nawałem niespodzianek można stracić głowę. Albo odwrotnie. A dziś o dyplomacji austrjackiej wszyscy mówią, że straciła głowę całkowicie,—więc też niespodzianka za niespodzianką wali się na nią. Nawet Czarnogórze, to maleńkie Czarnogórze, z którem właściwie nikt w polityce nie liczy się poważnie, wyprowadza w pole dyplomację austrjacką. Od pół roku Austrja wysila się, aby sparaliżować zwycięstwa słowiańskie na Bałkanach i po długich, kosztownych usiłowaniach wynajduje na to jeden jedyny sposób: utworzenia wolnej, niepodległej Albanji, któraby, niby klin, wbiła się między słowian południowych i zatarasowała im dojście do Adrjatyku. Kierownikowi zewnętrznej polityki austrjackiej, hr. Berchtoldowi, zdawało się, że ten jego pomysł jest genjalny. Tymczasem król Mikołaj, bez kosztów bez długich zachodów, zagroził Austrji unicestwieniem całego tego planu. Ułożył się z Turcją, że ta, za pośrednictwem swego przedstawiciela, sama ogłosi niezależność Albanji, jako księstwa, pod protektoratem tureckim. Król Mikołaj zgodził się na to, przyrzekł swe poparcie, za cenę oddania mu Skutari po szturmie, zarządzonym raczej tylko dla pozoru.

I tak się stało. Komendant Skutari, albańczyk Essad-pasza, oddał tę warownię królowi Mikołajowi, a sam, z 30-ma tysiącami żołnierzy, wypuszczonych swobodnie ze Skutari, udał się do albańskiego miasta Elbassany i tam ogłosił się księciem czy nawet królem Albanji, wassalem padyszacha. Istne kpiny z Austrji i z całego „koncertu“ mocarstw.

„Austrja nigdy nie wiedziała,



Hr. Berchtold, austrjacki minister spraw zagranicznych, domaga się zbrojnego wystąpienia mocarstw przeciw Czarnogórzu.

czego chce, i nigdy nie chciała, czego chcieć powinna.“ Była jedna chwila jasnego widzenia w jej polityce, gdy hr. Gołuchowski zaczął przygotowywać grunt do wyzwolenia Wiednia z pod wpływów berlińskich a do porozumienia się z Petersburgiem w sprawie najważniejszej między Rosją i Austrją, w sprawie podziału wpływów na ludy słowiańskie.

Polityka ta oburzyła niemców austrjackich. Nic dziwnego, widzieli, że z chwilą ziszczenia planów hr. Gołuchowskiego, skończy się w Austrji przodownictwo i zwierzchnictwo niemieckie. Pogrzebali więc polskiego polityka i jego plany—i od tego czasu brną w bagnie nonsensów i w nich utoną.

Wobec ostatnich wypadków Europa ujrzała przed sobą zagadkę trudną do rozwiązania. Co robić? Upoważnić Austrję do poskromienia siłą „nieposłusznej“ Czarnogóry? Niepodobna. Na to nie zgodzi się nietylko Rosja, ale nawet Włochy.

Austrja sama, na własną rękę wojny z Czarnogórzem nie rozpocznie, bo wojna z królem Mikołajem, to początek wojny z całym związkiem bałkańskim, której dalszy ciąg nie da się przewidzieć, zwłaszcza gdyby doń Rosja się wmieszała. Na pomoc Niemiec Austrja liczyć nie może, bo Niemcy dla sprawy bałkańskiej „nie wartej kości jednego grenadjera pomorskiego,“ nie złamią swej wizji w polityce prusko-rosyjskiej.

Słowem zagadka tak trudna, tak zawiła, że wszyscy chcą mieć wolne ręce, gdy przyjdzie chwila jej rozwiązywania. Turcja na gwałt kuje pokój z państwami bałkańskiemi, a zaczęła od generalnego zawieszenia broni. Nawet w Belgji bieg polityki wszechświatowej odezwał się echem: pośpiesznie zakończono strejk powszechny, a wzięto się do uzbrojeń na granicy. Europa w naprężeniu oczekuje wypadków najbliższej przyszłości. *h. m.*



Pochód ze sztandarami w czasie wielkiego strejku w Belgji.


Femina

{5

CZYNNIKI SZCZĘŚCIA W WIEKU DZIECIĘCYM.

(Dokończenie.)

Równolegle zatem z kwestją oddziaływania na fizjologiczne czynniki szczęścia zająć się należy reformą obecnego systemu wychowania i nauczania. Bo czyż może być mowa o szczęściu wówczas, gdy dzieci całymi dniami pracują umysłowo, wytężają mózg i przenużają narządy wzroku i słuchu? W powyższych warunkach starać się należy usilnie tylko o to, iżby się nie stały zbyt nieszczęśliwemi. Ogólne zarysy pożądanej reformy tak się przedstawiają: 1) unormowanie dnia pracy umysłowej uczniów w ten sposób, by pozostała dostateczna ilość czasu na zabawy, pracę fizyczną i wycieczki; 2) zreformowanie programów szkolnych, w których kurs pewnych przedmiotów winien być skrócony, inne zaś zupełnie usunięte; 3) urozmaicenie wykładu przez wprowadzenie nowych przedmiotów i udoskonalonych metod nauczania.

Mówiąc o czynnikach psychicznych, wykazałam już, że praca umysłowa wielkie sprawia dzieciom zadowolenie, gdy ta stosowana jest do ich organizacji. Wiadomo z psychologji, że dzieci interesują się najbardziej zjawiskami świata zewnętrznego; jasnem jest stąd, iż metoda poglądowa zająć winna najpierwsze miejsce w nauczaniu dowolnem i szkolnem. Wszystkie zaś nauki czysto pamięciowe powinny być wyrzucone, zwłaszcza z programów klas niższych.

Rozwój afery uczuciowej wpływa bezwątpienia na podniesienie szczęścia w wieku dziecięcym. W tym celu rozwijać należy sferę uczuć, co z powodzeniem czynić może i co czynić powinna matka. Chodzi następnie o podkład moralny. Podstawą moralności jest altruizm, z altruizmem zaś w parze idzie uczucie litości; rozwój tego ostatniego umoralniająco wpływa na duszę dziecka. Litując się, dzieci czynią dobrze i to sprawia im zadowolenie. Kraina jednak tego uczucia jest w dzieciństwie jeszcze niezbyt rozległa i ogranicza się do ciasnego koła stosunków rodzinnych. Dziecko lituje się nad swoim małym braciszkiem lub siostrzyczką i okazuje im współczucie. Zadaniem dalszego wychowania jest koncentryczne rozszerzanie zakresu tego altruizmu, którego podstawą jest uczucie litości.

Rozwijanie zmysłu estetycznego pierwszorzędne zajmuje miejsce w wychowaniu, jest on bowiem jednym z głównych czynników szczęścia. Niestety, praktyka wychowania nie uważa go za taki. Zadaniem pedagogji jest wskazanie środków, któreby najskuteczniej prowadziły do powyższego celu. Uwzględnić należy przedewszystkiem takie, któreby dzięki swej uniwersalności, dostępne były dla wszystkich.

Najpierwsze zaś miejsce wśród nich zająć winna przyroda. Niestety, w praktyce pedagogicznej przyroda, jako narzędzie wychowania estetycznego, małe ma zastosowanie. Tymczasem wrażliwość estetyczna występuje już niekiedy u dzieci pięcioletnich. W wieku dziecięcym zatem a zwłaszcza w pacholęcym, dzieci nie są obojętne na piękno natury.

Drugim niemniej potężnym czynnikiem wychowania estetycznego jest muzyka. Wrażenia muzyczne są dla dzieci bezwątpienia, daleko wcześniej dostępne, niż piękno natury. Już niemowlęta wrażliwe są na dźwięki muzyki, okazując zadowolenie, gdy je usłyszą. Trzeba przeto, jak można najwcześniej, przyzwyczajać dzieci do dźwięków muzycznych. Instrumentem, kształcącym zmysł estetyczny dziecka, niekoniecznie ma być fortepian; zastąpić go mogą z powodzeniem skrzypce, gitara, lub jaki inny instrument, byleby umiejętnie używany. Nie każda bowiem rodzina ma możność nabycia kosztownego instrumentu, wszędzie jednak instrument znajdować się powinien.

W jednym rzędzie z muzyką, a nawet nieodłącznym od niej jest śpiew, — jest to muzyka ilustrowana słowami i bardziej uduchowiona. Przeto do śpiewu przyzwyczajać należy dzieci od kołyski. Bardzo pożyteczne w tym razie będą piosenki umiejętnie śpiewane nad kołyską

dziecka przez matkę, starszą siostrę lub piastunkę.

Śpiew taki należy następnie zastąpić śpiewem chóralnym, ku czemu w mieście więcej jest sposobności, aniżeli na wsi. Lecz na wsi mają dzieci możność słuchania pięknych melodji ludowych w wykonaniu solowem i chóralnem.

W końcu dopełniającym środkiem wychowania estetycznego będzie odczytywanie dzieciom utworów poetyckich.

Nauka rysunków, rzeźby, muzyki, wytwornych robót ręcznych, organizowanie chórów, orkiestry, wieczorów literacko - artystycznych, przedstawień amatorskich — winny mieć szerokie zastosowanie w wykształceniu dzieci.

Celem przeto pedagogji w przyszłości powinno być pielęgnowanie i uprawianie czynników szczęścia, tkwiących w fizycznej i psychicznej organizacji każdego człowieka.

E. Żypowska.

PANI U SIEBIE W DOMU.

Przy obecnych warunkach społeczno światowych, życie kobiet wogóle a eleganckich dam w szczególności—tak się układa, takie ma wymagania, że życie po za domem pochłania im masę czasu, pozostawiając zaledwie małą jego cząstkę owemu tak miłemu i tak wysoce cenionemu w Anglji *at home* czyli *u siebie w domu.*

Kobietę-damę, *modern-style,* można ujrzeć wszędzie, na ulicy, na spacerze, na posiedzeniach—na odczytach, na polach wyścigowych lub innych sportowych, w powozie, na koniu, w atomobilu nawet... w aeroplanie, w teatrach, na koncertach, na rautach, lub *five o'clock'ach,* w restauracjach, i w kabaretach, na balach i redutach—jednem słowem wszędzie, gdzie się zbiera eleganckie towarzystwo — wszędzie prócz w domu, gdzie bywa rzadko, dorywczo, gdzie jest prawie jak w gościnie. Jeżeli zaś pozostaje w domu dłużej, to dla tego by przyjmować gości z racji proszonego obiadu — rautu, herbaty i t. p.

Bywają jednak i dla tych światowych dam okoliczności zmuszające je do dłuższego pozostania w domu, samej. Niepogoda, jakaś niedyspozycja, lub zły humor, jakieś zmęczenie lub niezadowolenie — a pani zostaje w domu sama — i wtedy ciekawą jest rzeczą czem się zajmuje, jak przepędza te wyjątkowe godziny swej ruchliwej egzystencji.

I oto w tym razie po bliższej obserwacji eleganckiej damy dochodzimy do przekonania, że właściwie nie zajmuje się ona w domu *niczem.* Uwolniona od zajęć gospodarskich pozostawionych służbie, modna pani nie robi *nic.* Kręci się po mieszkaniu, wszędzie zostawi jakiś ślad swego przejścia ale do zajęcia *istotnego,* nie dochodzi nigdy. Tu przestawi jakiś wazon, tam końcem różowego paluszka pociągnie po stole, by skonstatować, że Marjanna albo Ignacy nie dosyć starannie wytarli kurze, przekłada jakąś książkę na etażerce, siada do pianina, zaczyna nucić jakąś modną piosenkę, i już idzie dalej—wychodzi na balkon, siada w bambusowym fotelu i patrzy na ruch uliczny. Głównymi jej czynnikami spędzania czasu w domu—jest lustro, jakaś modna, nowa książka i wygodna kuszetka. Lustro wypełnia całe godziny, jest to nieprzebrane źródło obserwacji, studjów piękności, zadowolenia lub *poważnej* troski, spowodowanej jakąś zmarszczką na skroni lub pryszczykiem na podbródku. Książka, choć nie zawsze bawi, ale trzeba ją przeczytać dla szyku, dla tego, by módz powiedzieć, że ją się czytało, kuszetka jest najmilszą ucieczką przeciwko nudom—i oto pani, która nie może usiedzieć dziesięciu minut na miejscu, spędza parę godzin leżąc, z oczami utkwionemi w sufit i myśląc... o czem?.. to już jest jej tajemnicą. Pozostaje jeszcze gazeta nie bardzo jednak przez damy *modern-style* protegowana, żurnal mód już o wiele milszy — bombonierka jako zabawka — obiad jako stacja pośrednia— ręczna robótka jako curiosum no i... dziecko... Jeszcze trochę, a bylibyśmy zapomnieli o dziecku, które powinno być jasnym promieniem całego domu, i wypełniać życie kobiety, być jego celem i najmilszą ozdobą. To też obserwacje nasze sięgają wyłącznie tam, gdzie dom pozbawiony jest dziecinnego szczebiotania, srebrnego śmiechu i cudnej, dziecięcej swawo-



Miłe chwile rozmyślań w buduarze.

li a przez to samo jest pusty i chłodny...

Damy *modern-style*, nie mają kultu swego domu, nie mają poczucia, że tam właśnie, znajduje się prawdziwe ich królestwo, o rządzie wszechwładnym. Kult ten najbardziej rozwinięty jest w Anglji a wyrażenie *at home* określa doskonale sytuację.

Francuzka lubuje się głównie w swoim pokoju sypialnym i w salonie, a całe swe mieszkanie uważa jako rodzaj hotelu, w którym przyjmuje się gości, ale za to ów salon czy buduar, jest wypieszczony z niezmierną czułością. Wyzyskano tam każden kącik, ustrojono go tak, by tworzył swej właścicielce najkorzystniejsze obramowanie urody—najwłaściwszą dekorację i inscenizację, nadającą się do rodzaju jej piękności. Zaczynając od mebli, dywanów, drobiazgów, a kończąc na oświetleniu dziennem i wieczornem, wszystko ma na celu przedstawić najpiękniej, najkorzystniej pseudo-westalkę tego pseudo-domowego ogniska.

U nas, na szczęście mało jest jeszcze kobiet o znamiennym typie i *modern-style*. Polki, nawet te, które przepędzają wiele czasu na rozrywkach światowych, kochają jednak swój dom—czują się w nim *u siebie*. Jest to ich gniazdo rodzinne i jako takie, najbliższe sercu — myślom i zabiegom; artystyczne, estetyczne urządzenie mieszkań jest przejawem ostatnich czasów—otworzyło ono kulturalnym kobietom nowe a obszerne pole działania. Wszystko tu jest oparte na dobrze wyrobionym guście na odpowiedniej kulturze, a kobieta, pani domu— która może—chce i umie urządzić sobie mieszkanie odpowiadające jej potrzebom i zamiłowaniom, oraz utrzymać je starannie, znajdzie zawsze w domu zajęcie, miłe i użyteczne spędzenie czasu, bez uciekania się do godzinnych posiedzeń przed lustrem, do przeglądania modnych wydawnictw i do bezmyślnego *far niente*, deprymującego nerwy i niweczącego siłę i sprężystość woli.



MODY WIOSENNE NA WYŚCIGACH W AUTEUIL.

Tak wiele piszą i mówią o niezmiernej oryginalności mód wiosennych — tak je sobie nieświadomie, mylnie tłumaczą tak rozliczne wywołuje dyskusje, polegające na wielkich uwielbieniach lub bezwzględnem potępieniu, że postanowiłam dla lepszej orjentacji szanownych czytelniczek, przedstawić im autentyczną fotografję zdjętą w czasie wyścigów wiosennych w Auteuil. Ma ona tę zasługę, że przedstawia wierną podobiznę osób żywych, które identycznie *tak* wyglądały i *tak* były ubrane.



Oryginalne mody. „Bayadere“ - veste.

Przedewszystkiem należy poznać materjały, z których te kostiumy zostały wykończone— otóż: *Drap de soie* (wspaniały materjał jedwabny) *Crêpe de Chine*, *mora* albo czysto jedwabna lub z domieszką nitki wełnianej, materjał t. z. *broché* w kwiaty lub arabeski w tonie—białe miękkie sukno i t. d. W kostjumach panują tak zwane *kombinacje*, czyli mieszanie materjałów i kolorów. I tak: Spódnica z lekką draperją (odsłaniająca stopy) z czarnego jedwabiu *broché*, do niej tak zwana *veste* — zastępująca dawny żakiet— z białego sukna — rękawy *charakterystycznym* krojem *kimono*, zaczynają się od samej talji, nadają one całej tualecie *moderne chic*.

Na tej białej *veste*, druga sensacyjna nowość chwili, tak zwany pas *bayadere* a więc o wyglądzie wschodnim, Jest on z aksamitu czarnego z bursztynowymi guzikami, za tym pasem na samych piersiach pęk wrzosu. Kapelusik t. zw. *Bibi* z czarnej jedwabnej słomki, bez przybrania. Pantofelki czarne zamszowe, czarne gazowe pończoszki. Tak wyglądała na wyścigach w Auteuil, dama *pierwsza* (patrz drugostronny rys.). *Dama druga* ubrana jest w spódniczkę *moderne*, z czarnego *double satin*, czyli podwójnego gładkiego atłasu — i tak, zwaną *blouse roumaine*, czyli bluzę rumuńską, z *crepe de chine*, *broché*, to jest w kwiaty *en relief*, w kolorze jasno-zielonym, *vert Mai*, krój zupełnie wolny rzec można, że cała bluza *wisi* na osobie bo główną charakterystyką obecnej mody, jest zupełne zaniechanie wszelkiego na figurze dopasowania, wszelkiej sztywnej opiętej linji. Maleńki dekolt okrągły przy szyi, obszyty nadmarszczaną złotą koronką, przy pasku różowa róża. Trzewiki czarne, pończoszki gazowe zielone.

Kapelusz z niewielkiem rondem ze słomy czarnej, główka gazowa zielona. *Dama trzecia*, tualeta poważniejsza osoby starszej. Spódnica z materjału zwanego *côte de cheval*, w grube *en relief* (wypukłe) paski koloru szyfru *(gris ardoise)* do tego *veste*, z mory czarnej, czysto jedwabnej. Krój tej *veste* cokolwiek odmienny z odcinanemi przy talii i wszytemi w pasek połami, rękawy *kimono*, biały lis na ramionach, kapelusz toczek z gazy popielatej, z czarnem okoleniem. Dodać należy, że tego rodzaju *veste* mają podszewkę wyłącznie z *crêpe chiffon*, dla lekkości i specjalnego szyku. *Dama czwarta* nosi długi płaszcz *z satin feutré* koloru laskowego orzecha z szerokiem obramowaniem z aksamitu *coq de roche*, czyli w kolorze bażancim — płaszcz zręcznie podpięty z przodu, co ułatwia swobodę ruchów, na ramionach wielka etola sobolowa— takaż mufka, kapelusz ze słomy koloru bażanciego, z tyłu duża fantazja koloru laskowego orzecha. *Dama piąta* nosi tualetę białą, z tak zwanego *drap de soie*, czyli sukna jedwabnego, srebrzyście połyskującego. Spódnica ładnym krojem z szerokim od talii pasem, przy którym jest lekko nadmarszczona, na bokach przy pasie patki przybrane kryształowymi guzikami. Do tego stanik wolnym krojem nadmarszczony powyżej talii i spięty na takież guziki. Czarny lis na szyi. Kapelusz *Capeline*, czarna słoma na rondzie kwiaty białe, gemzowe białe pantofelki, czarne gazowe pończoszki.

Jest to bardzo interesująca *galerja* i raz jeszcze powtarzam, ma wielką zasługę — bo jest aktualna i autentyczna.



Mody wiosenne na wyścigach w Auteuil.

NOWINY I NOWINKI.

Statystyka niemiecka.

Profesor akademji Lipskiej pan Koestner, został obdarzony orderem Czarnego Orła. Uczony ten spędził życie na statystycznem konstatowaniu n i e-zgodnych małżeństw w Europie. Cesarstwo Niemieckie stoi na czele tej zajmującej statystyki, z siedmioma nieszczęśliwemi małżeństwami na sto. We Francji małżeństw takich znajduje się jedno na sto — co świadczy bardzo korzystnie o francuskiem społeczeństwie.

Spojrzenie cesarzowej.

Excesarzowa Eugenja znajdowała się w Paryżu w dniu w którym panu *Poincaré* urządzano oficjalne przyjęcie w Ratuszu. Chłodno spoglądała na owe miejsca gdzie kiedyś znajdowały się Tuilerje. Z czołem opartem o szyby, patrzyła na orszak nowego prezydenta — wsłuchana w owe okrzyki paryskiego tłumu, tak jej dobrze znane a wznoszące się wówczas na jej cześć — i to przez lat dwadzieścia!...

Córka sekretarza.

Król angielski Edward VII miał sekretarza poświęconego sobie bez granic, Lorda Knollys. Ożenił on się w późniejszym już wieku i miał córkę, której nadał dziwaczne na pozór imię— Luwima. Składa się ono z 3-ch pierwszych liter imion córek królewskich: Ludwiki, Wiktorji i Maud. Jest to myśl prześliczna i była jednym dowodem więcej wielkiej czci i przywiązania sekretarza do swego króla i pana.

Liga dobroci.

Przezacne kobiety, których imię jest synonimem szczodrości i poświęcenia, zorganizowały w Paryżu „ligę dobroci“, w działalność której wchodzą wszystkie czyny, których podstawą i treścią jest dobroć, stosowana według możności i poszczególnych warunków każdej z osób do ligi należących.

Uczta chińska w Paryżu.

Bardzo niedawno w mieszkaniu pewnego mandaryna w Paryżu, zgromadziło się grono złożone z kilkunastu literatów i literatek. Raczono ich gniazdami jaskółek, nasieniem nenufarów, skrzelami rekinów, pojono odwarem z werweny, palili następnie opium—i wszyscy byli rzetelnie chorzy— na cześć i chwałę państwa niebieskiego...



Sprawy robotnicze.

Można rzec, iż życie społeczne w Łodzi płynie obecnie pod znakiem robotnika. Głód, nędza, roboty publiczne, pomoc lekarska, kasy chorych—to są sprawy, które obecnie weszły na porządek dzienny obrad i zabiegów różnych komitetów, instytucji i stowarzyszeń.

W tych dniach łódzkie Towarzystwo lekarskie zwołało obrady celem rozważania sprawy organizacji pomocy lekarskiej w fabrykach na zasadzie prawa z dnia 6 lipca 1912 r. o ubezpieczeniu robotników w razie choroby i od wypadków nieszczęśliwych.

Dr. Skalski zapoznał zebranych z referatem dra Grabowskiego, który roztrząsa praktyczne zasady nowego prawa. Między innemi podkreśla to, że obejmuje ono znacznie mniejszą liczbę osób i warunków, niż prawodawstwo asekuracyjne niemieckie i austrjackie. Nowe prawo rosyjskie ma być stosowane tylko do pracowników przedsiębiorstw fabryczno-przemysłowych, górniczych, rzecznych, tramwajowych, podlegających inspekcji fabrycznej i górniczej. Natomiast pominięci są zupełnie rzemieślnicy, pracownicy rolni, budowlani i wogóle wszelkiego rodzaju najemnicy. Nowe prawo ubezpiecza w zupełności robotników, którzy ulegli wypadkom nieszczęśliwym przy pracy, chorych na 26 tygodni, bez możności przedłużenia zapomóg — i położnice na 6 tygodni. Chorzy członkowie zaś na mocy tego prawa mają zapewnioną pomoc lekarską bezpłatnie. Mianowicie—ci, którzy nie mogą pracować, korzystają z tej pomocy w ciągu czterech miesięcy. Tak zwani zaś „niezdrowi" korzystają z pomocy lekarskiej przez cały czas uczestniczenia w kasie.

Nowe prawo ma tę wyższość od norm dotychczas obowiązujących, że obowiązkowemu ubezpieczeniu muszą podlegać nietylko robotnicy, ale także inni pracownicy przedsiębiorstw fabrycznych, oprócz pracujących w oddziałach handlowych przedsiębiorstw. Jednocześnie zaś ograniczono pomoc lekarską dla robotników na koszt właścicieli przedsiębiorstw. Nawet prawo bowiem nic nie mówi o leczeniu robotników chorych w ich mieszkaniach. Obowiązek zastrzegania miejsc dla robotników w szpitalach zniesiono; natomiast wprowadzono dla fabrykantów opłatę obowiązkową na rzecz tych szpitali, w których umieszczono robotników chorych.

Na zasadzie nowego prawa fabrykanci i przedsiębiorcy mogą zakładać własne szpitale albo też zawierać umowy ze szpitalami publicznymi i lecznicami lub wreszcie z kasami chorych co do leczenia robotników chorych.

Słabą stroną nowego prawa jest to, że nie mówi ono wcale w jaki sposób i kto mianowicie ma udzielać pomocy ambulatoryjnej w razie nagłego wypadku lub zasłabnięcia. Również nie określono bliżej i jasno pomocy dla położnic. Wyjaśnią to wszystko i określą przepisy obowiązujące, które wyda Rada do spraw i ubezpieczenia robotników. Zresztą i w tych wypadkach fabrykanci i przedsiębiorcy mogą się porozumiewać i wchodzić w umowy ze szpitalami publicznymi, lecznicami lub kasami chorych.

Co do funduszów, nowe prawo określa je w ten sposób, że dwie piąte składają fabrykanci i przedsiębiorcy a trzy piąte—robotnicy. Pod tym względem prawo rosyjskie lepiej zabezpiecza robotników niż niemieckie lub austrjackie, według których fabrykanci i przedsiębiorcy, składając jedną trzecią funduszów kas chorych, są wolni od obowiązku leczenia robotników własnym kosztem.

Kasy chorych, według prawa rosyjskiego, nie mają tego szerokiego zakresu organizacji i działalności społecznej, co instytucje tego rodzaju zagranicą. W Niemczech np. istnieją *związki* kas chorych, które wspólnemi siłami walczą ze śmiertelnością dzieci, gruźlicą, alkoholizmem, niehygienicznym stanem mieszkań robotniczych, epidemjami wszelkiego rodzaju i wogóle z niezdrowymi warunkami życia, które można usunąć lub złagodzić w granicach środków i sił rozporządzanych przez takie instytucje. Tymczasem poznają zupełnie tę doniosłą formę i dziedzinę walki ze złem i czynnikami zabójczymi dla ludności robotniczej. O tem, żeby kasy chorych mogły tworzyć związki niema nawet marzeń. Wprawdzie nowe prawo przewiduje możność zlania się kilku kas, ale to jest zależne od urzędu miejscowego do spraw ubezpieczenia robotników. Urząd zaś taki stosuje się ściśle do instrukcji, a instrukcje, niestety, nie zawsze są oparte na prawie, lecz przeważnie zależą od prądów, nastrojów i—osobistych zapatrywań jednostek urzędniczych.

Co do stosunków i potrzeb łódzkich, należy wziąć pod uwagę cyfry następujące:

W Łodzi r. 1911 podlegało inspekcji fabrycznej 786 przedsiębiorstw zatrudniających ogółem 94,069 robotników. W tej liczbie 541 zakładów, zatrudniających 91,609 robotników, podlegają ubezpieczeniu. Nowe prawo zaś nie ogarnia 245 zakładów pomniejszych (a więc stanowiących 32,5% liczby ogólnej), zatrudniających 2460 robotników, czyli 2,6% liczby ogólnej.

Ponieważ Łódź posiada 80 zakładów prze-

mysłowych z liczbą robotników powyżej 200, więc na razie zapewne powstanie 80 samodzielnych kas chorych z ogólną liczbą członków 64,744 a nadto 25—30 kas wspólnych, z których każda będzie liczyła doszczętnie 15—20 przedsiębiorstw i 800—1000 członków.

Przeciętny zarobek robotnika łódzkiego wynosi 330 rubli rocznie. Taka suma musi być wzięta za normę obliczeń. Ponieważ zaś najwyższa norma opodatkowania na rzecz kas wyniesie 3⅓% dochodu robotnika, więc ogólny dochód kas chorych w Łodzi wynosi miljon rubli, t. j. 600,000 od robotników i 400,000 od fabrykantów i przedsiębiorców. Z tej sumy ⅓ czyli 333,000 rb., może być użyte na leczenie rodzin członków kas.

O ile fabrykanci i przedsiębiorcy zechcieliby dodatkowo wnosić do funduszów kas 2⅕% w stosunku do zarobku robotników na udzielanie pomocy lekarskiej członkom, to z tego źródła w ciągu pierwszego roku działalności nowej instytucji wpłynęłoby 665,000 rb., co uczyniłoby w ciągu roku, łącznie ze składkami obowiązkowemi, 1,665,000 rb., czyli przeszło 5½% w stosunku do zarobku robotników.

Takie środki byłyby poważną dźwignią pomocy lekarskiej i sanitarnej śród sfer robotniczych łódzkich a zarazem pierwszorzędnym czynnikiem w podniesieniu ogólnego poziomu zdrowotności mieszkańców miasta.

Sprawa nowej formy pomocy lekarskiej dla robotników żywo zainteresowała wszystkich lekarzy w Łodzi, więc niezależnie od zebrania specjalnego w Towarzystwie lekarskiem całą tę sprawę przekazano Kołu lekarzy fabrycznych, które wkrótce ma zwołać zebranie ogólne lekarzy łódzkich, celem wszechstronnego i gruntownego rozważania tej wielce doniosłej sprawy. Niemniej żywe zainteresowanie obudziła ona w sferach robotniczych nietylko w Łodzi, ale w całym okręgu fabrycznym łódzkim.

Odbyły się już wybory pełnomocników do kas chorych w różnych kasach, między innemi w Pabjanicach w fabrykach Kruschego i Endera oraz w fabryce Barucha, przy czem doszło do pewnych zatargów pomiędzy robotnikami a administracją pierwszej z wymienionych powyżej fabryk. Rozdano tam czyste, zwyczajne kartki robotnikom, ci zaś żądali kartek drukowanych. Musiano wezwać inspektora fabrycznego, który rozstrzygnął spór na rzecz robotników. Wypadek ten powinien być wskazówką dla innych. Byłoby bardzo pożądane, ażeby się dało uniknąć podobnych sporów.

Sprawy kas chorych nie usunęły na plan dalszy sprawy pomocy dla robotników pozbawionych pracy. Jakkolwiek bowiem w ostatnich czasach daje się wyczuwać bardzo nieznaczna poprawa stosunków położenia ekonomicznego, niemniej jednak niedola śród robotników w dalszym ciągu jest wielka. Dawny komitet obywatelski musi zlikwidować swą działalność i w tym celu zwołał zebranie, na które większością głosów postanowiono zupełnie przerwać wydawanie zapomóg oraz zwinąć obwody i rewiry. Zebranie likwidacyjne postanowiono zwołać na 7 maja, na którem będzie zdecydowany cel, na jaki należy przeznaczyć sumę pozostałą, wynoszącą przeszło 15.000 rb.

Komitet robót publicznych rozpoczął pracę dn. 28 kwietnia. Na razie znajdzie pracę 500 robotników. Jest to zaledwie cząstka tych, którzy oddawna są całkiem pozbawieni pracy. Ale to przecież coś znaczy. Przypuścić należy, że znajdą zarobek przedewszystkiem ojcowie rodzin. Jeżeli będziemy liczyli przeciętnie po cztery osoby na rodzinę, to otrzymamy 2000 osób, zabezpieczonych przed nędzą i głodem.

Na skutek wyjaśnień starszego budowniczego m. Łodzi, p. Nebelskiego, wogóle postanowiono przystąpić do takich robót miejskich, przy których mogliby znaleźć zajęcie bez trudności robotnicy fabryczni. Oto są te roboty najpilniejsze: 1) Urządzenie placu, na którym ma stanąć szpital miejski dla chorych zakaźnych; 2) Przeprowadzenie ul. Rokicińskiej w pobliżu głównych składów monopolowych; 3) Urządzenie nowej ulicy pomiędzy szosą Rokicińską a Dzielną; 4) Oczyszczenie kanałów miejskich i mostów; 5) Oczyszczenie rzeczki Łódki; 6) Okopanie lasu miejskiego przy szosie Konstantynowskiej; 7) Doprowadzenie do porządku drogi w okolicy „Mani“; 8) Doprowadzenie do porządku ul. Fabrycznej od Przędzalnianej do Żelaznej, obok szpitala Anny Marji; 9) Doprowadzenie do porządku ul. Milsza; 10) Wykonanie robót ziemnych pod zabrukowanie ul. Lutomierskiej.

Kwalifikowaniem robotników do pracy zajął się prezes Komitetu obywatelskiego, p. Adolf Daube. Na skarbnika wybrano p. Antoniego Ramischa, który w miarę potrzeby podnosić będzie pieniądze z kasy miejskiej na rachunek przyznanych 100,000 rb.

Mamy tedy do czynienia z faktem dokonanym i z określonym planem pracy. Przyznać trzeba, że Komitet robót publicznych zorganizował się dość szybko i ułożył bardzo trafnie plan robót najpilniejszych, dając zarobek robotnikom pozbawionym pracy, jednocześnie wykonany z pożytkiem dla miasta. Komitet rządził się tutaj jeszcze jedną, bardzo ważną zasadą: ażeby roboty miejskie były dostępne dla niespecjalistów, t. j. ażeby mógł się do nich wziąć każdy, kto posiada zdrowie i siły fizyczne. Ze względu na cel główny tych robót, jest to zasada bardzo ważna.

Zenon Pietkiewicz.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

15) TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Uświadomienie tego wywołało w duszy księcia, jakby odruch urażonego uczucia estetycznego. Aż syknął głośno, niby z bólu, przypomniawszy sobie niektóre momenty w konduicie cesarza podczas pobytu w Witebsku i Smoleńsku. Było w tym tyle złego smaku...

Stary kamerdyner, stojący dotąd niemo za fotelem nachylił się i spytał nieśmiało:

— Wasza Książęca Mość... noga znowu dolega?

Książe podniósł oczy zdziwione. Nie spodziewał się znaleźć świadka swych tajemnych rozmyślań. Zawstydził się, jak ktoś przyłapany nagle na gorącym uczynku występnego kroku.

— Ach, noga?... Tak, tak... a no, dolega bestja.

— Możeby doktora?

— Nie, nie... nie trzeba.,. Dam sobie radę z moją nogą.

— Do krocset—mówił sobie—nie dam się chorobie. Ogarnia mię paskudztwo, że zaczynam widzieć rzeczy, których żołnierzowi widzieć nie przystoi. Rozcinam na dziesięć części cienki włosek, jak jakiś fizyk uczony.

Małostki, małostki. Drobiazgi przysłaniają perspektywę rzeczy wielkich. Palcem trzymanym przy oku zakryłem górę niebosiężną. Hej, djabelnie źle być musi ze mną skoro się zaczynam bawić w dumania jak ów królewicz Duński, w tragedji pewnego angielskiego poety, o którym ongi opowiadał książę biskup Warmiński. Było to dawno—na jednym z obiadów czwartkowych u króla. Niektórzy naganiali angielskiego pisarza, że się w układzie tragedji nie trzyma porządku, że wzgardził klasycznymi wzorami greckimi, że się nie pilnował zgoła w zachowaniu jedności, akcji, miejsca i czasu, przez co nie chciano go nigdzie grywać na teatrze. Książę w dyskusji literackiej udziału nie brał, ale losy królewicza Duńskiego utkwiły mu w pamięci i niejednokrotnie w wielu okolicznościach życia, przychodziło mu stawić sobie owo pytanie: być albo nie być?

Hamlet?

Nie, do krocset! Nie, do stu tysięcy fur beczek djabłów nie jest ani trochę ważącym się w niepewnościach Hamletem. Przeciw wszelkim zwątpieniom i słabościom ducha bronił się dotąd skutecznie prostym czynem żołnierskim. Tak było w roku 1794, kiedy król, opiekun, stryj, protektor i dobroczyńca największy postawił go w sytuacji najbardziej tragicznej.

On, który przed dwoma niespełna laty trzymał w ręku losy narodu i armji, ocknął się nagle wobec czynu, dokonanego bez niego i po za nim przez naród i armję. Poczuł się nagle jakby wyrzucony po za nawias rachunku społecznego. Był jak rzecz niepotrzebna i wzgardzona. A wypływało to fatalistycznie z logiki wydarzeń dziejowych. Ciążyła nad nim klątwa pochodzenia. Wyniosło go ono raptownie na czoło, aby potem równie raptownie zepchnąć w nicość. Ciążyła na nim, Józefie Poniatowskim, wina Stanisława Augusta Poniatowskiego. Król po chwilowym porywie szlachetnych uniesień, jakie mu był narzucił Sejm Czteroletni, jeszcze głębiej pogrążał się w nikczemnem służalstwie, jeszcze skwapliwiej zabiegał o łaski i protekcje ościenne. Obrzydł w opinji ogółu do najwyższych granic. Zwrot w opinji powszechnej ogarnął i jego—siostrzeńca znienawidzonego króla. Wszakże, mimo wszystko był od króla zależny moral-

nie i materjalnie—on jego bratanek i pupil najukochańszy.

Naród nie mógł mieć zaufania do Poniatowskich. Kościuszko stanął na czele ruchu. On pomimo swoich niezachwianych względem narodu uczuć znalazł się w rzędzie odepchniętych od jego serca.

Trzeba było cios bolesny przyjąć z męską siłą i stanowczością. Przyjął od narodu dymisję z naczelnego dowództwa, ale nikt nie mógł go dymisjonować jako żołnierza.

Nie dał się unieść dumie, miłości własnej... Stanął przed dawnym swoim podkomendnym, prosząc go o zaszczyt służenia ojczyźnie, bodaj jako prosty szeregowiec...

Nie zapomni nigdy owej drogi, jaką w przebraniu, incognito, z dwu nieodstępnymi towarzyszami Wielhorskim i Bronikowskim przebył z Belgji do ogarniętej insurekcją ojczyzny.

Ileż to przygód, niewygód, niespodzianek w tej podróży konspiracyjnej. Już w tej drodze pamiętnej odleciały od duszy hamletyczne wątpliwości. Ogarniał ją zapał i uniesienie. Był maj. Wiosna cudnie pachniała w miłej Polsce. Rozkwitały drzewa, zieleniła się ruń po polach.

W końcu maja, pomni, przybył do obozu Kościuszki pod Jędrzejowem. Było to po słynnej bitwie racławickiej. Nie zazdrościł sławy jaką się w tej potrzebie okrył Naczelnik i uwielbienia, jakie zdobył wśród ludu.

Owszem radował się z wygranej, cieszyła go harmonja, jaka panowała między wodzem i wojskiem.

Widział w tem zadatek szczęścia powszechnego.

Zapewne dotknęło go boleśnie, kiedy mu oznajmiono w obozie, że zbyt serdecznego przyjęcia spodziewać się nie może, że nie jest już nawet lubiany od wojska.

On stracił miłość wojska! Trudno!...

Książe Eustachy Sanguszko wprowadził go do namiotu Naczelnika. Siedział na stołku w swojej szarej świtce krakowskiej, którą od wiktorji racławickiej zwykł był nosić. Ledwie powstał na powitanie.

— Czego książę sobie życzysz?—spytał prawie szorstko.

— Służyć prostym żołnierzem.

Ha, ofiarowano mu dowództwo na Litwie, którego nie przyjął.

Wypadło po tem przełknąć jeszcze niejedną gorzką pigułkę—mścił się „pierwotny grzech urodzenia".

Wspomnienia te wywołały jakby uczucie chwilowego gniewu. Ściągnął brwi, ale nagle porwał się z fotela i stanął na równe nogi.

— Co Wasza Książęca Mość robi! Na miłość boską; noga się sforsuje!

— Nie, nie, rozchodzę bestję. Dosyć tego siedzenia przed kominem. Wieczorem na teatr pójdę... gdziekolwiek bądź... Samotność zły doradca.

Silnie utykając, przeszedł środkiem pokoju.

— Niech się Wasza Książęca Mość wesprze na mojem ramieniu — prosił sługa.

— Daj!

Zaczął się spacer powolny, nie bez ogromnego wysiłku, ale okazało się, że przecież trzymanie nogi nieruchomo nie jest bezwzględnie konieczne.

— Ha, ha,—śmiał się książę, wmawiał mi imć Peton, że kroku mi zrobić nie wolno, a jabym od biedy już i walca wywinął. Prawda stary?

— Jabym miarkował wedle mego pojęcia...

— Nic nie miarkuj—bywają rzeczy, które wszelkie ludzkie pojęcia przechodzą.

W wędrówce swej po pokoju stanął przed wielkiem zwierciadłem.

Ach, ach! niegodziwcze! zawołał do służącego, który go troskliwie podtrzymywał pod ramię.

— Co, Wasza Książęca Mość?

— Jakto, pozwalasz ażebym siedział taki brzydki, nieuczesany, nieogolony. Tak to dbasz o mnie! Zawołaj mi natychmiast Charles'a. Chcę być piękny. Dosyć tej abnegacji.

Wszedł fryzjer francuski i zaczęły się długie, niesłychanie skomplikowane zabiegi około tualety książęcej,

Książę przynaglał do pośpiechu. I słusznie, bo zaledwie francuz zdjął z Księcia pudermantel, kamerdyner przyszedł zaanonsować hrabinę Annę z Tyszkiewiczów Potocką.

— Anetka! krzyknął książę, wyszedłszy do przyległego salonu.

Padli sobie w objęcia...

— Wiesz o wszystkiem? spytał książę.

— Ach, niestety—dowiedzieliśmy się co prawda bardzo późno, gdyż pan Pradt prawdę starannie ukrywał przed nami. Możesz

sobie książę wyobrazić przygnębienie jakie ogarnęło nas wszystkich. Znika dla nas, wszelka nadzieja, znika wszelka sposobność odzyskania bytu politycznego. Skończyło się. Nie można marzyć ażeby Napoleon, ten Napoleon pobity, zdruzgotany, rozgromiony... A jednak...

Hrabina w silnem podnieceniu przebiegła salon, napełniając go szumem jedwabnych sukien.

— A jednak dziwny to człowiek. Wiesz książę o tem, że przed kilku dniami, przejeżdżał przez Warszawę. Teść mój widział się z nim, mówił i wrócił pełen najlepszej nadziei. Dziwny człowiek. Czyżby niezwyciężony? Nie zapomnę nigdy wyrazu twarzy hrabiego Potockiego, w chwili kiedy właśnie wracał od Napoleona. Było to... zaraz... dziesiątego... tak, dobrze mówię, dziesiątego grudnia. Na dworze mróz dochodził do dwudziestu czterech stopni. W kółku rodzinnem siedzieliśmy przy kominku, rozmyślając ponuro, nad zuchwalstwem tego wielkiego człowieka, który uparł się, ażeby za jednym zamachem obalić i swoją wielkość i nasz los. Nagle zjawiła się jakaś tajemnicza postać z ambasady i konspiracyjnie wywoływała teścia mego. Rozumieliśmy, że skończyły się już rządy monsignora, że pan Pradt musi chyłkiem zmykać z Warszawy, sądziliśmy zatem że to on chce się incognito pożegnać z hrabią. Dwie godziny przetrwaliśmy w niepewności wśród najsmutniejszych przypuszczeń. Przyznasz książę, że trudno było w tym czasie spodziewać się jakiejś bardziej pocieszającej nowiny. Oczekiwaliśmy wieści najokropniejszych. Wtem wraca hrabia, prawie uspokojony, prawie rozradowany.

— Zgadnijcie! zawołał, z kim miałem zaszczyt mówić przed chwilą.

— Z ambasadorem Napoleona.

— Nie, z samym Napoleonem.

— Jakto, wrócił z armią?

— Nie, sam jeden

— Zgnębiony?

— Nie, ani nie zgnębiony, ani nie zrażony. Wierzy najmocniej że geniusz jego pozwoli mu wywołać we Francji, w Europie nowe zastępy walecznych, nowe siły, nowe środki ażeby uchwycić znowu, wymykające mu się z rąk, berło świata. Hrabia jest człowiekiem trzeźwym, rozsądnym i przewidującym — wytrawnym politykiem, a jednak najwidoczniej był jakoby pod czarodziejskim wpływem słów tego człowieka. Wierzył w te przyszłe moce najszczerzej i radował się z nich dla Polski. Napoleon nie burzył naszych nadziei, zachęcał do wysiłków przyrzekł, że wróci na czele nowej armii i zamierzenia swoje względem polaków doprowadzi do końca.

Podobno, ciągnęła dalej hrabina, Napoleon nie usiłował taić swoich błędów, owszem przyznawał się do nich najotwarciej, przyznawał się do nadmiernego zaufania jakie pokładał w swej gwieździe, przedstawił klęski w całej okropności, a jednak teść mój, który już nie jest przecież w wieku złudzeń, łudzi się najlepszemi nadziejami i niezachwianie wierzy w moc niezwyciężoną tego człowieka. Dla nas jednak, którzyśmy nie byli bezpośrednio pod wpływem uroku, przyznasz książę, że sprawa przedstawiać się musi mniej uspakajająco?

Książę milczał.

— Powiedz, nalegała, czy istotnie możemy mu ufać i iść z nim aż do końca jego przeznaczeń. Czy może to być dla nas w jakiejkolwiek mierze korzystne?

— Iść musimy aż do końca. Tego wymaga nasz honor, choćby na razie widocznych korzyści osiągnąć się nie dało.

Głęboka zaduma osiadła na czole księcia.

— Korzyści... korzyści... powtarzał smutnie, lecz nie dokończył myśli swojej. Zmieniając nagle ton przeszedł do spraw prywatnych, osobistych, serdecznych.

(d. c. n).



K. ŁOZIŃSKA.

Rouge et noir.

— Przynosi mi pan szczęście—jak Bozię kocham...

— Chciałbym...

Rudy postiche i duże podkreślone oczy pochyliły się lekko w stronę czarnego smokinga z białą gardenją u klapy, zatrzymują

się na miejscu, gdzie kształt kieszeni rysował się nieznacznem wygórowaniem.

— Pan chce grać dalej?

— Jeśli pani każe... wolałbym jednak... resztę domówiły niebieskie źrenice, mające w sobie jakąś słodycz kwiatów łąkowych.

— Wie pan co? — jestem głodna jak wilk — niech mię pan zaprowadzi do najbliższej restauracji mam apetyt na ostrygi...

— Tylko?..

— Figlarz! Zobaczymy po deserze...

W tej chwili przesunął się gentleman o twarzy wygolonej — postać przypominająca napoły centaura, na poły handlarza wołów. Nieznajomy zbliżał się wolno a interlokutor rudego postiche, elastycznym krokiem i z pewnym pośpiechem podszedł doń, uśmiechając się blado. Osamotniona pochłaniała teraz wzrokiem bujne kształty przybysza i zdawała się mierzyć jego siły i środki skoncentrowaną pracą mózgu. On spojrzał przelotnie na wymalowaną twarzyczkę, z kolei zdając się taksować jej brylanty na palcach i w uszach, nie przestając rozmawiać z młodzieńcem w smokingu. Wreszcie rozstali się bez uścisku dłoni, jak ci, co rozchodzą się na chwilę. Gentleman posunął się ku środkowi sali, tam, gdzie przy szczelnie otoczonym stole rozgrywał się pierwszy akt dramatu lub tragedji. Krupier donośnym głosem wyrzucał z wązkich piersi komendę, zgarniając grabkami stosy złota, mieniące się w ostatnich blaskach zdenerwowanego słońca, marzącego o wypoczynku i ukojeniu.

Znasz pan tego lorda? Bajeczna budowa... a przytem taki magnat. Mimi mówiła, że jest bardzo hojny... musi mię pan z nim poznać...

Spojrzenie podkreślonych oczu nabrało w jednej chwili dziwnej miękkości i oddania...

— Zobaczy pan, będę grzeczna... Pan zna go przecie dobrze?

— O! tak...

— I istotnie taki bogaty, jak mówią? I utytułowany... musi mi pan o nim dużo opowiadać...

— Jestem zazdrosny... chodźmy na... ostrygi.

— A! jaki pan niecierpliwy — wczoraj poznaliśmy się, a dziś...

— A dziś? dokończ.

— Dokończę... po ostrygach.

Uśmiechała się teraz wyzywająco i zagadkowo i była w tem prawie dziewiczą — pomimo niewątpliwych cech niedwuznacznego stanowiska w tym świecie żądzy i złotego cielca.

— Wie pan — mówiła, ogryzając ostrymi ząbkami skrzydełko pulardy — wygrałam wczoraj tysiąc franków za jednem posiedzeniem, dziś poszło mi jeszcze lepiej, stanowczo mi pan szczęście przynosi, jestem też pewna, że, skoro pana poproszę...

— O co? mów... śmiało, zresztą chcesz, dysponuj tem, oto jest.

Wyjął pugilares i delikatnie złożył obok kieliszka z szampanem.

Roześmiała się na całe gardło.

— Dziękuję! dzieciak jesteś i cóż „to" znaczy? Nie o tem myślałam — to drobiazg.

Wymawiając delikatnie i lekko ostatnie słowa, jednocześnie gładziła dłonią zbyt pełną i dużą, aby ją można było nazwać klasyczną, kędzierzawe włosy partnera, oddychającego pospiesznie i głośno. Drugą zaś rączką podrzucała portfel jakby badając jego ciężar i niby wypadkowo wsunęła go we wnętrze eleganckiego woreczka wysadzanego brylancikami i turkusami.

— Kim jesteś, ty? szeptała muskając wargami rozpalone czoło.

— Twoim...

— Chcę wiedzieć... lubię kochanków eleganckich, z wielkiego świata... w tobie odgaduję pana.

— Jestem twym niewolnikiem — to dość...

— Jesteś sentymentalny jak hrabia lub poeta... znałam jednego,—pisał do mnie wiersze, ale był goły, a hrabia darował mi ten oto pierścionek... ładny, co? jubilerzy cenią go wysoko.

— Ja ci dam ładniejszy...

— Hrabia dał mi oprócz tego naszyjnik...

— Ja dam ci także...

— Urządził mi willę i kazał wznieść fontannę, w środku której był taki nagi, zdaje się, bożek grecki z łukiem.

— Ja ci także... tu urwał i przymglonym wzrokiem zdawał się zapytywać sam siebie, czy nie zadaleko posunął się w licytacji miłosnej.

— Wspaniały jesteś! jestem pewna, że tam u was, musisz wielką rolę odgrywać... masz przytem chic znajomych i przyjaciół. Moja przyjaciółka Mimi poznaje się tylko z tymi, którzy mają dystyngowanych przyjaciół, i dobrze na tem wychodzi, nie potrzebuje potem szukać.

— Powiedz, że kochasz, daj twe usta, jak przecie po deserze obiecałaś...

* * *

Stała teraz przed dużem lustrem gabinetu, poprawiając koronki stanika i loki u czoła, przeciągała się przy tem leniwie, a on palił cygaro z flegmą, gdy nagle przypomniawszy coś sobie, zerwał się szybko z kanapy i spojrzał na zegarek.

— Muszę cię pożegnać Lalutko — przepraszam, że tak nagle, ale muszę... czekają na mnie.

— Kto? może ten amerykanin? mój złoty, teraz, kiedy już tak dobrze z sobą jesteśmy, musisz mię z nim zapoznać... wiesz ja chcę tak, jak Mimi...

— Dziękuję ci — już szukasz następcy.

— No, mój drogi, nigdy zawcześnie, kto to może wiedzieć... przecie to nic ci nie zaszkodzi, dopóki zechcesz i owszem, ale tak bym chciała go poznać... taki pan... jesteś przecie jego przyjacielem, prawda?

Dłuższa chwila milczenia — młodzieniec w smokingu, rzucił nerwowym ruchem cygaro, spojrzał z wyraźną złośliwością na podnieconą towarzyszkę i bardzo wolno, a dobitnie wygłosił:

— Jestem jego... szoferem... za godzinę odjeżdżamy do Paryża...

* * *

Panna Lalutka obrachowując zawartość pugilaresu, już u siebie w hotelu, szeptała trochę gniewnie, trochę lirycznie.

— I wierz tu teraz komu, kiedy szoferzy wyglądają tak elegancko — zupełnie tak samo jak przyzwoici ludzie... hrabiowie lub poeci... Stawiałam na rouge — a wyszło czarne!





Z V-ej SERJI.

BALET PIAN.

Jak obłąkane balleriny,
Jak lalki z powieści Hoffmana,
Na czarne, przepotworne skały,
Z dziką furją, wściekłą rozpaczą,
Pian białe truchła — widma skaczą,
Jak wizja, ryczącymi szały
I mrokiem chaosu pijana,
W smudze nadbrzeżnych latarń sinej...

Od ryku ciemności ogłuchły,
Patrzę obłędnie, jak w malignie,
Na białych pian — baletnic pląsy,
W tajemnych lśnień magicznem kole,
Gdy morze ryczy, Carmagnolę,
Dzikimi szamotane dąsy,
I serce mi od grozy stygnie,
I z pian białemi tańczę truchły!..'

Na sinobiałych martwic taniec,
Co, jak cyrkowe akrobatki,
W spódniczkach z białej piany gazy,
W szloch uderzając nagły, dziki,
Przy ryku morza, trąb muzyki,
Na czarne wyskakują głazy,
Po ich powierzchni tańczę gładkiej,
Patrzę, ogłuchły obłąkaniec!

Te widma białe malignowe,
W tajemnych lśnień magicznem kole,
Po czarnych skał pląsają kirze,
Co się przy brzegu piętrzą dziko,
Smagane morza trąb muzyką,
W czarnej, kipiącej fali kirze,
Co ryczy wściekłą Carmagnolę,
Bijąc maczugą w moją głowę!..

Wacław Wolski.



2)

HERMAN BANG

Cudowne dziecko.

(OPOWIEŚĆ).

Karolkowi najęto nauczyciela, który grał z nim trzy numery. Pan Teodor Franz był zawsze obecny podczas lekcji. Zaznaczać chciał wszystkie miejsca, gdzie Karolek grał fałszywie. Przez to spodoba się publiczności.

Zbliżył się dzień pierwszego koncertu. Koncert miał się odbyć w Brukselli.

Na dzień przed odjazdem pan Emmanuelo de las Foresas złożył pożegnalną wizytę panu Teodorowi Franz. Pan de las Foresas był człowiekiem ustępliwym, i dzięki temu stał się teraz prawdziwym orleanistą: postawa iście wojskowa, laska ze złotą gałką, wąs siwy...

— Łaskawy panie, — rzekł pan Teodor Franz — dlaczego pan nie nosisz krepy?

— Krepy?

— Tak, — czyś pan nie czytał, że Charlot nie ma matki, łaskawy panie?

Odjeżdżając pan Dupont miał na kapeluszu krepę.

Pan Teodor Franz przywiózł Karolkowi prezent. Była to obręcz z jego inicjałami. Karolek zabrał obręcz ze sobą, do przedziału.

Pan Teodor Franz zaś pozostał w Paryżu. Było to jego zasadą: zawsze się trzymać na stronie.

— Impresario odstrasza prasę, łaskawy panie, — mówił do pana de las Foresas. — Ci panowie sądzą, że my tu przychodzimy z pełnemi kieszeniami wszelkiego śmiecia! Panowie dziennikarze teraz są wielce podejrzliwi!

Nad ranem po pierwszym koncercie, wezwano go depeszą do Brukselli. Przeczekał jeszcze dobę, przeczytał brukselskie dzienniki i — pojechał. Mały cudowny — skrzypek, „Charlot Dupont“ poniósł fiasco!

Na dworcu kolejowym spotkał go pan Emmanuelo de las Foresas. Był cichy i smutny.

— Czego można żądać od dziecka, — rzekł. Czego? Przecież on nie może grać jak Sarasate!

— Łaskawy panie — milcz pan lepiej! — — On grał, jak osieł!

Karolek był mocno przygnębiony. Pan Emmanuelo de las Foresas bił go tak długo, że aż całe plecy miał pokryte sińcami i żółtemi plamami. Spoglądał tylko z ukosa na pana Teodora Franza, spodziewając się od niego jeszcze więcej kułaków. Ale pan Teodor Franz rozpakował cały tłumoczek zabawek paryskich i porozkładał je po pokoju... Karolek przekonał się teraz dobitnie, że o kułakach nawet mowy być nie może...

Pan Teodor Franz wyszperał nowego nauczyciela i znowu poczęto ćwiczyć trzy dawne numery! Grano godzinę za godziną, tak że Karolek o mało nie wpadał w omdlenie. Pan Teodor Franz zmuszał go wtedy do urozmaicania gry przeróżnymi uśmieszkami i dziecięcymi gestami...

Karolek stał zupełnie apatycznie, grał, naśladował i uśmiechał się.

Pod koniec poczynał płakać, skrzypce wypadały mu z rąk i rozmazywał łzy po całej twarzy.

— No, — jeszcze raz...

— Jestem zmęczony, — płakał Karolek — nie mogę —

— Tylko jeden raz jeszcze, a dostaniesz cukierka...

Karolek ryczał na cały głos.

— Nie chcę cukierków! — wołał.

— A co chcesz dostać? — Jeżeli będziesz rozumny i zagrasz jeszcze raz...

Karolek popatrzał przez palce.

— Papierosów, — rzekł.

— Dobrze. Tylko graj! —

— Ale trzy! — dodał Karolek.

— No, dobrze, — dostaniesz trzy.

Karolek odjął ręce od twarzy...

— Ja chcę je teraz widzieć... — rzekł.

Pan Teodor Franz położył trzy papierosy na stole i Karolek zagrał raz jeszcze, drżąc ze zmęczenia.

O godzinie drugiej zajęcia przerywano. Pan Teodor Franz sam spacerował z Karolkiem po bulwarze.

Śliczną obręcz też brano z sobą. Karolek jednak przeważnie wolał siedzieć na ławce; czuł się tak senny, jakgdyby mu oczy zasypano piaskiem. Ale pan Teodor Franz od czasu do czasu dawał mu w bok kuksa i — gdy drzemka minęła — Karolek biegał z obręczą...

W międzyczasie pan Teodor Franz łagodnie rozmawiał ze wszystkiemi dobrze ubranemi dziećmi, lub częstował je cukierkami i ciastkami. A gdy dzieci znajdowały się w towarzystwie matek, to rozmawiał z paniami i prezentował im Karolka, gdy go był w stanie odszukać. Karolek bowiem najczęściej chował się, siadał zgięty pod pierwszem lepszem drzewem i spał, wsadziwszy głowę między kolana.

Pan Teodor Franz budził go kuksami — o, Pan Teodor Franz umiał dobrze wykuksać! — wprost kułakiem w bok — póki nie obudził się i nie wziął do rąk bacika lub wilczka, co leżały obok niego na ziemi.

— On taki żywy, — mówił pan Teodor Franz — taki śliczny chłopiec!

Razu pewnego Karolek przepadł zupełnie. Na bulwarze nie znaleziono go. Pan Emmanuelo

de las Foresas wraz z panem Teodorem Franzem cały dzień szukali go gorliwie. Wreszcie znaleźli malca w parku za kamiennym cokółem. Karolek stał, otoczony całą chmarą małych chłopców. Wsuwał im w usta papierosy, pouczając, jak się puszcza dym nosem. Malcy robili okropne miny i kasłali od dymu.

Karolka to złościło.

— Idjoci, — mówił. I sam z wielką wprawą i dumą puszczał kłęby dymu w powietrze.

Kiedy wrócili do domu, Karolek tego dnia po raz pierwszy poznał siłę ręki pana Teodora Franza...

. . . .

Po powtórzeniu trzech numerów w ciągu tygodnia, cudowny skrzypek, „Charlot Dupont"— był tak łaskaw, iż zgodził się zagrać kilka numerów wobec wychowańców szkoły pana Rochebrune, wobec czego pan Rochebrune ponaspraszał matek i ciotek swych kilkunastu uczniów.

Karolek grał swoje dwa numery oraz „Kakadu der Schneider". Nigdy jeszcze nie było takiej radości w szkole pana Rochebrune. Matki były wprost rozrzewnione. Karolek obszedł wszystkie i przez wszystkie został wycałowany. Poczem panie stały przy oknach i patrzały, jak Karolek grał w chowanego z dziećmi na podwórku szkoły...

Ukazały się wzmianki w dziennikach. Kilka innych szkół również zaprosiło cudownego skrzypka.

Pan Teodor Franz począł jeździć z Karolkiem do krytyków, do recenzentów. Karolek stał się naraz chłopcem niemożliwie ospałym; gdy tylko usadowił się w powozie — zaraz zasypiał w swym kąciku. A kiedy przyszli do obcych ludzi (pan Teodor Franz zawsze składał wizyty w domu, lubił bowiem przyjęcia domowe), to stał tylko, poziewając przy krześle pana Teodora Franza i zaledwie odpowiadał: „tak" albo „nie".

Udali się wreszcie z wizytą do pana Deslaudes. Pan Deslaudes był korespondentem „Times'a".

Pan Teodor Franz mówił przy nim przez nos (pan Teodor Franz zawsze mówił przez nos wobec wpływowych osób, autorytetów i reprezentantów prasy...) o swym przyjacielu, panu Ambrożym Thomas.

Tymczasem w sąsiednim pokoju nieokrzesane dzieci pana Deslaudes wszczęły naraz okropny hałas. Niepodobna było prowadzić rozmowy.

Wtedy pan Deslaudes otworzył drzwi i palnął dzieciom ostrą wymówkę. Po dwuch sekundach hałas się ponowił.

— Daj im pan spokój, niech się bawią, — rzekł pan Teodor Franz. — Dzieci są zawsze dziećmi. (Pan Teodor Franz o dzieciach mówił zawsze łagodnie).

Rzucił okiem na Karolka, który siedział na krześle i wywijał nogami.

— Charlot! ty, naturalnie, z przyjemnością pójdziesz pobawić się z dziećmi pana Deslaudes?

Naturalnie — z przyjemnością!

— Czy słyszysz, Charlot? Tyś powinien z przyjemnością pójść pobawić się z dziećmi pana Deslaudes!

Karolek nie poruszając się siedział na swojem miejscu.

Chciał, zda się, w ten sposób okazać najzupełniejszą swą obojętność względem rodziny pana Deslaudes.

Pan Teodor Franz schylił się i, dając mu wprost w bok kuksa, rzekł łagodnie:

— Jak widzę, ty się krępujesz, Charlot; a wszakże słyszałeś, jak pan Deslaudes powiedział, że z przyjemnością pójdziesz się bawić z jego dziećmi.

Karolek prędko zerwał się z krzesła i skierował się ku drzwiom pana Daslaudes. Dzieci były rude, a zabawiały się w ten sposób, że kłuły szpilkami jakiegoś obcego malca...

Pan Teodor Franz i pan Deslaudes stali podczas tego przy drzwiach i zachwycali się dziećmi.

Było to na kilka dni przed drugim koncertem małego cudownego skrzypka. Koncert miał duże powodzenie. Wychowańcy szkoły pana Rochebrune, powystrajani, ofiarowali Karolkowi — olbrzymi wieniec.

Poczem odfotografowano Karolka w tym wieńcu — niby w ramce.

Zachwyt był olbrzymi. Po trzecim koncercie — program którego na życzenie publiczności, pozostał ten sam, jak był na drugim — pan Teodor Franz osobiście odwiózł Karolka do Skandynawji. Pan Teodor Franz bardzo cenił Skandynawję. Tu mały geniusz, Charlot Dupont, otrzymał swój chrzest ogniowy. Stąd leżała przed nimi droga po całej Europie. W przeciągu dwuch lat zjeździli wszelkie miejscowości, zapędzali się nawet do Baku.

Charlot Dupont wszędzie przynosił takie same zyski, co Patti.

. . . .

Skończył właśnie siódmy rok życia i wypadło tak, że Karolek obchodził dzień swych urodzin w dniu, gdy dawano koncert pożegnalny. Pan Emmanuelo de las Foresas przez cały ten dzień chodził z krepą na kapeluszu.

Pan Emmanuelo de las Foresas czuł się zresztą naogół bardzo dobrze. Otrzymywał teraz dość znaczne sumy pieniędzy, skutkiem czego wróciły znowu ku niemu pewne porywy jego młodości... Stał się znowu wielce czuły na korpulentne blondynki, a razu pewnego zgrał się do suchej nitki w Baden.

Lubił grywać w bakkara po koncercie, a jednocześnie nie zaniedbywał poszukiwań za korpulentnemi blondynkami po całej Europie.

Tak minęły dwa lata.

Przeważną część tego czasu kompanja spędzała w pociągu.

Koncerty dawano codziennie. To też co dzień bardzo wcześnie trzeba się było udawać na dworzec. Pan Emmanuelo de las Foresas zawzięcie targał Karolka za włosy, podczas gdy malec, śpiąc mocno, bronił się przez sen. Wtedy pan de las Foresas chlustał mu wodą w twarz,

aby go zbudzić. Karolek płakał i, łkając na skraju posłania, naciągał na nogi skarpetki. Członki ciążyły mu niby ołów.

Ubierano go, a on rozespany, włóczył się w półmroku, koło otwartych koszów, w które składano rzeczy poomacku, jak się dało. Zasypiał znowu przy niezbyt ciepłej herbacie, siedząc z filiżanką w ręku. Budzono go znowu, poczem całe towarzystwo, drżąc z zimna, z sinemi twarzami, jechało w mokrym omnibusie na dworzec. Karolek zwijał się w kłębek w rogu przedziału i spał.

Pan Teodor Franz i pan Emmanuelo de las Foresas nie żyli ze sobą w zbytniej zgodzie. Kłócili się bardzo często nad ranem.

Karolek, budząc się, widział ojca oraz pana Teodora Franza w rozpiętych ubraniach. Ojciec zsuwał się pomału z siedzenia, podczas gdy pan Teodor Franz chrapał.

Wagon kołysał się na wsze strony, lokomotywa mknęła naprzód z monotonnym hałasem. Zaduch wprost odurzał Karolka, który chciał spać i spać nie mógł.

Kręcił się tylko na ławce, nie mogąc ani siedzieć, ani leżeć. Klękał i patrzał przez okno. Wciąż jedno i to samo: drzewa — domy — i pola. Jedyne co go interesowało—były to małe pieski. Tak chciało mu się wybiedz na peron i pogłaskać je!

Ku wieczorowi przyjechano do miasta, gdzie miano dać koncert. Podczas gdy nowi tragarze krzątali się koło ich waliz, Karolek z ciekawością patrzał na peron, trzymając w rękach wszystkie swoje zabawki. Powstawał niebywały hałas, zjadano obiad naprędce, Karolka ubierano pośpiesznie w aksamitną kurtkę i udawano się na koncert. Gdy przemijał stan podniecenia, Karolek często po pierwszym numerze zasypiał w kącie „pokoju dla wykonawców“ i trzeba go było budzić, gdy miał znowu wychodzić.

Poczem odjeżdżali do domu i jedli kolację. Pan Teodor Franz i pan Emmanuelo de las Foresas rozprawiali bardzo głośno przy butelce wina. Karolek również ożywiał się nieco pod wieczór. Dawano mu koniak z wodą, a on siedział z rumieńcem na twarzy i słuchał.

Pan Emmanuelo de las Foresas umiał wiele wesołych anegdot o najkorpulentniejszych blondynkach obu półkuli. Zaś pan Teodor Franz miał cały zapas „własnych wspomnień“. Tak oto Karolek uczył się pomału mądrości życia.

. . . .

Częstokroć mówiono o zawodzie.

Wtedy pan Teodor Franz wyciągał nogi; wsunąwszy ręce w kieszenie, stawał się szczery:

— Prasa, łaskawy panie, ho, ho! Prasy nie trzeba żywić; nic niema głupszego na świecie, jak karmienie panów z prasy; co do mnie, to nigdy nie karmię sprawozdawców! Pokarm czyni ich niespokojnymi, łaskawy panie; chodź pan ot, lepiej do nich do domu, jedz pan z nimi cieniutką zupę w kole rodzinnem, łaskawy panie, — bądź pan niezbyt wymagającym—a przedewszystkiem — pisz pan wiele, wiele zaproszeń. Oto, w czem tkwi tajemnica naszego powodzenia.

— Tak, jest to prosta droga, — poświadczył Emanuelo de las Foresas.

— Tak zawsze wypada najtaniej, — rzekł pan Teodor Franz.

Pan de las Foresas skinął głową potakująco.

— Miss Tisbyrs — ciągnął dalej pan Teodor Franz — nie kosztowała mnie nawet butelki bordeaux. Miss była religijna, nie pijała żadnych spirytualji, więc wszyscyśmy pili wodę, łaskawy panie... Wreszcie poczęła mi przynosić po pięć tysięcy franków przez wieczór... Pan ją słyszał?..

— Owszem...

— W takim razie nie mam potrzeby mówić mu o jej głosie, łaskawy panie!

Pan Teodor Franz chwilę milczał.

— Kwiaty? — Doprawdy, wielkie głupstwo te kwiaty!... Publiczność nie ufa już więcej kwiatom... Miss Tisbyrs kosztowała mnie dwadzieścia sześć „ukrzyżowań“, po trzy franki, — ofiarowanych jej przez deputacje na estradzie... To wywołało wielki efekt... Chrystus na krzyżu, owinięty nieśmiertelnikami... miss Tisbyrs płakała...

Mówiono także o wszechświatowych wirtuozach i artystach. Pan de las Foresas przeważnie tylko przytakiwał.

— Publiczność nigdy nie bywa ekstrawagantną. Publiczność jest zawsze usposobiona filantropijnie. Trzeba się tylko odwołać do serca, do uczuć — apelować do uczuć... W tem tkwi sedno. Postawiłem na nogi dziesięć śpiewaczek, dzięki odśpiewaniu „Ave Maria“, przy akompanjamencie harfy... Ja twierdzę, że zdobędę majątek, gdy postawię młodą niewiastę koło harfy...

Pan Teodor Franz niezbyt cenił znakomite śpiewaczki. Złościły go one poprostu. To obraza wołał. Obraza zdrowego rozsądku!

— Patti, — mawiał nieraz. — Patti, mój przyjacielu to potwór! Patti dziesięciu impresarjów doprowadziła do ruiny. Nie, ja nie szastam pieniędzmi! Ja też chcę mieć zysk! Dwanaście tysięcy franków za dwie arje! Nazywam to wprost potwornem! Już lepiej fabrykujmy znakomitości, moi panowie, fabrykujmy — ja jestem impresarjo, mój panie, ja to umiem...

Karolek zbliżył się do pana Teodora Franza i słuchał, oparłszy się rękami o stół.

Pan Teodor Franz językiem rzucał na wiatr setki tysięcy tak, że aż uszy więdły.

— Fabrykować, fabrykować znakomitości — oto, na czem polega cała sztuka...

Pan Teodor Franz spuszczał głowę i obadwaj panowie szli chwilę w milczeniu. Karolek cały czas patrzał szeroko rozwartemi oczami na pana Teodora Franza, który siedział w zamyśleniu na krześle. Pana Emmanuela de las Foresas począł sen morzyć. Wąsy pana Emmanuela de las Foresas zawsze smętnie zwisały w dół, gdy mu się bardzo spać chciało...

— Ale wszystko to wkrótce się skończy, — już dziś rzeczy źle stoją... Publiczność chce kontramarek, chce tylko kontramarek. Przy tem zadużo dziś tych znakomitości wszechświatowych, wszędy natrafiasz na owe znakomitości... Zbyt

wiele blagi... Mówiłem to już, mówiłem przedstawicielom prasy. Moi panowie, powiedziałem, wy zabijacie sztukę, moi panowie, wy piszecie zadużo feljetonów, moi panowie, wy za wiele łżecie!.. I czy to co pomoże? Nie, oni muszą wypisać sobie wszystkie palce, tak muszą wypisać wszystkie palce...

To oni właśnie psują nam sprawę — a to dlatego, że nie robią rozróżnień — konkurencja — każdy stara się przekrzyczeć drugiego — a tymczasem publiczność nie może z tego zrozumieć ani jednego słowa...

Wielkie majątki — łaskawy panie — już zostały zrobione... Za dziesięć lat, mój panie, ja, impresarjo, nie dam nawet stu marek za żadną gwiazdę wszechświatową!

Pan Teodor Franz umilkł. Ręce bezwładnie wypadły mu z kieszeni.

— Stu marek nie dam...

Pan Emmanuelo de las Foresas drgnął od ciszy panującej w pokoju i naraz przejawił szczególną troskliwość względem Karolka, który zasnął, oparłszy głowę o stół...

— Karolku? toś ty jeszcze nie w łóżku? Jakże to myśmy mogli zapomnieć o malcu!..

Z temi słowy pan Emmanuelo de las Foresas ułożył Karolka w łóżku.

(d. c. n.)



JAKÓB WASSERMANN.

Usta, które nie zaznały pocałunku.

(Z niemieckiego).

I.

Już zdaleka widać żółtą, starą, pięciopiętrową wieżę, z jej ciemną dachówką, przypominającą czepek nocny. Wieża ta zamyka szeroką, cichą ulicę. Łukiem swej bramy wieża zdaje się stać na wątłych ramionach dwuch domów; jeden jest gospodą: „Pod wesołą świstawką", drugi należy do doktora Maspero. Ulica, zwężając się zrazu, przechodzi w plac targowy, który sprawia wrażenie środkowego punktu w mieście. Stamtąd prowadzi rozgałęzienie wielu spokojnych ulic i uliczek: do strzelnicy, do kościoła, stamtąd bierze początek wąziutkie przejście między apteką a sądem okręgowym — do żydowskiej bóżnicy, wesołego budynku z czerwonej cegły, uwieńczonego dwiema pękatemi kopułami. Dokoła ciągnie się obszerny ogród owocowy, który przy samej ulicy ustępuje miejsca dziedzińcowi synagogi. Ulica ta posiada jeszcze jeden budynek naczelny, pomieszczony między prastarymi, rozpadającymi się w gruzy domami: jest to równie stary i chylący się do upadku budynek szkolny. Sześćdziesięcioro sześcioro dzieci, chłopców i dziewcząt, bywa tu codzień przez pana Filipa Unruh wprowadzanych w tajemnice alfabetu i arytmetyki.

Bywają nazwiska i nazwiska. Niektóre są jakby zaczerpnięte z charakteru ich właściciela, inne odpowiadają mu tak mniej więcej, jak synagoga — ogrodowi owocowemu. Takim owocowym ogrodem — jeśli mamy wyzyskać porównanie — było nazwisko owego nauczyciela. On sam pełen był spokoju, równie, jak zakres jego życia. Miasteczko leżało poza obrębem wszelkich zdarzeń. Ludzie z tych domków spełniali swe obowiązki w dzień, a w nocy sypiali i żelaznemi prawami uregulowane były ich godziny. Dni i kalendarz miały zewnętrzne jedynie znaczenie. Dzwonek zadzwonił, ale co zadzwonił, nie wypowiadał uchu słuchacza. Czas mijał, jak mija wieczność cała, ale gdzie ginął, o tem nie myślał tu żaden mózg. Tylko pociągi kolei żelaznej, które z hałasem toczyły się na dół i pod górę po wielkiej, spokojnej dolinie, przynosiły jakiś wiew ze świata, z jego wydarzeń, z życia, z posępnych i radosnych igrzysk, zachodzących w krajach, które leżą rozsnute między dwoma oceanami.

Filip Unruh, wbrew nazwisku, był spokojny między spokojnymi. Nie był też, jakby można wnosić z imienia, Filipem — przyjacielem koni, raczej skłaniał się ku stąpającym w bogobojnej zadumie kotom. Na swem stanowisku nie był znakomitością, ale też nie dawał nigdy powodu do nagany. Od lat dziewięciu toczyła się praca roczna, bez współudziału z jego strony. Wszystko prześlizgiwało się tylko przez jego ręce, jak u zręcznych robotników, którzy bez oczu, bez światła wykonywują wszystko, czego ich przyzwyczajenie i mus nauczyły. Dzień rozpadał się na godziny; godziny oznaczały przegródki, a każda przegródka była grudką wiedzy, przygotowaną, aby powiększyć o kopę — bardziej lub mniej chętny mózg. Małym zbiorem machin była dla Filipa Unruh jego szkoła, którą kierował spokojnie, poddając się uprzejmie i z chłodnem zadowoleniem regularnemu biegowi rzeczy.

Człowiek ten, ani stary, ani młody, ani wesoły, ani smutny, ani żywy, ani umarły, posiadał upodobanie pewne, które zasługiwało może na inną nazwę, tak dalece przekraczało zwykły zakres jego uczuć. W jego chłodnym, wązkim, głuchym pokoju, któremu dachy i krużganki zasłaniały niebo, tak, że najjaśniejszy dzień letni nie mógł rozproszyć tam mroku, znajdował się długi szereg książek: kroniki i pamiętniki i poważne obrazy, zawierające dzieje wszelkich czasów i ludów. Tu czytał i szperał, studjował i rozmyślał Filip Unruh od szeregu lat. Był w tem zapał uczonego i coś, jakgdyby chęć przygód. I jeszcze jedno. Gdy wkoło niego czas stężały leżał, podobny zamarzniętemu jezioru, Unruh widział poprzez swe książki — stłoczone, grozy pełne morze życia. Teraźniej-

szość była dla niego cieniem wątłym, bladem odbiciem różnobarwnej, błyszczącej, niebezpiecznej i pociągającej przeszłości. Teraźniejszością był pokój jego, spokojne miasteczko, cicha ziemia frankońska. Przeszłością była Europa, Azja, Egipt, były boje mordercze, płomienne rewolucje, rozpadające się państwa. Tu był doktór, aptekarz, burmistrz, rada szkolna, tam — społeczeństwo królów, genjalnych wodzów, wzniosłych przestępców, buntowników krwawych, morderców znakomitych i nieustraszonych odkrywców. Byli tam pełni blasku twórcy, fałszywi prorocy, władcy, obywatele, pełni poświęcenia, heroiczne kobiety, bohaterowie ojczyzny i miasta bajeczne. I wobec takiego bogactwa, które leżało przed nim niewyczerpane, które rozpalało jego zmysły, poruszało ducha, zaludniało sny nieporównanemi postaciami, czyż mógł coś znaczyć dla niego dzień bezbarwny? Dumał o losie, który wyciąga dłoń od jednego stulecia do drugiego, który niweczy małych, by wielkich utrzymać, spala kraje, by z popiołu ich uczynić cement dla domu Zbawiciela; który każde zdarzenie poddaje mierze ludzkiej, każdy wypadek zmienia w przeznaczenie. Dlatego pod jego gęstym, rudawym wąsem krył się ów uśmiech, który mógł uchodzić zarówno za dziecięcy, jak za głęboki. Dlatego też nie oceniał dostatecznie dowcipów doktora Maspero, nie okazywał należytego współczucia trosce pani Süszmilch, której córeczka tak wrogo przeciwstawiała się ABC. Pan adjutant (tak go nazywali, chociaż nikt nie przypominał sobie, aby go kiedy widziano w uniformie) mówił, że Unruh liczy podwójnie swe trzydzieści pięć lat. A ponieważ powiedział to do pani Federlein, żony stróża nocnego, dowiedzieli się o tem wszyscy ci, co w odosobnieniu nauczyciela widzieli coś podejrzanego i tajemniczego.

II.

I dzisiaj, jak codzień, doktór Maspero wracał z gospody w towarzyszem, który skracał mu drogę. Gawędził w swój zwykły żartobliwy sposób z baronem, posiadaczem apteki. Niekiedy w nocy, gdy gra w karty się skończyła, prowadzono rozmowy obszerne i głębokie. Doktór był człowiekiem małym, jak karzeł, chuderlawym, jak wyrostek, miał również ruchy wyrostka, mówił bardzo głośno i najczęściej zapalczywie, nawet kiedy żartował. Jego swarliwy charakter był jakby orężem obronnym przeciw ludziom, którzy urośli bardziej od niego.

Szeptem i tajemniczo opowiadał baron o swym nowym prowizorze. Szept i tajemniczość były mu właściwe. Cała postać barona była czysta, łagodna i apetyczna, jak świeże masło. Lubił on sztuki piękne i z tej skłonności czerpał poczucie godności własnej, leżące w jego naturze. Szedł zawsze przez ulice, jak ktoś, co mówi: Patrzcie, jestem marzycielem.

Doktór wyraził zdziwienie, że nie widział dotąd nowego prowizora, który był tu od czterech tygodni i spytał o jego nazwisko.

— Apolonjusz Siebengeist — odrzekł baron, topiąc spojrzenie w czarnym firmamencie.

— Zmienić, zmienić! Tak się nikt nie nazywał — zaskrzeczał doktór z nieuzasadnioną wściekłością i oczekiwał poklasku przyjaciela, który przewyższał go o dwie głowy. Doktór wywierał nielada wpływ na duchowe życie mieszkańców miasteczka. Jego natarczywy dowcip był postrachem całego miasta. Ideałem jego był jako pisarz, Safir, który, zdaniem doktora, świat wstrząsnął w posadach.

Baron odpowiedział powoli i znacząco, że Siebengeist pochodzi z dobrej rodziny, ale że umysł jego nie jest w należytym porządku. Ma w sobie coś djabelskiego, coś socjaldemokratycznego. Na to odparł doktór, szczypiąc koniec nosa dwoma palcami, że aptekarz mógłby mu przygotować na uspokojenie jakiś proszek, jakąś wstrzymującą miksturę.

— Olej rycynowy, — poddał baron i wybuchnął na ten nieoczekiwany żart takim rykiem śmiechu, że stróż nocny Federlein, przestraszony, zatrzymał się na rogu placu targowego. Z pogardą ściągnął doktór usta, podczas gdy delikatny aptekarz długo jeszcze nie mógł się uspokoić. Kiedy w dalszym ciągu szli swą drogą wśród niezwykle cichej nocy, mówili jeszcze o przedstawieniach teatralnych, zapowiedzianych na dni następne, gdyż jakaś trupa wędrowna miała rozłożyć się obozem w ziemi frankońskiej. Doktór zamówiony był przez redaktora dziennika, jako krytyk, baron zaś zamierzał napisać dla dyrektora wierszowany prolog.

Przy szkole skinął doktór uprzejmie w stronę ciemnego okna, z którego wyglądał na ulicę nauczyciel. Właśnie wydzwonił zegar godzinę jedenastą. Doktór zapytał, czy Filip Unruh przyjdzie jutro na licytację. „Będą też książki“, dodał. Pożegnawszy się z nauczycielem, ruszyli dalej, wkrótce znikli w ciemnościach.

Nauczyciel wiedział, że na licytacji będą też książki. Zmarł właśnie stary profesor, nie zostawiając spadkobierców i chudoba jego szła na licytację. Szczególniej wiedział Unruh o starej kronice z Auspachu, której profesor nie chciał nigdy sprzedać, ani pożyczyć. Wspominając ją, cieszył się teraz i nie pamiętał opanowujących go smutnych myśli; przyglądał się przedsionkowi synagogi, patrzył w górę i w dół ulicy, nie zważając na zimno, pełen łagodności i spokoju. Śnieg padał i padał, puszysty i jasny w świetle jedynej latarni. Tymczasem powracały tamte, zbyt prędko znikłe obrazy.

Przeczytał właśnie coś niezwykłego. Niedawno był u szwagra swego, który posiadał sklep w Teilheinne. Przy przetrząsaniu skrzyń i pudełek, Filip Unruh znalazł zapomniany foljał, nadgryziony przez myszy. Sklepikarz uprzejmie ofiarował szwagrowi znaleziony foljał, zawierający notatki markizy Bourguignon, przełożone przez jakiegoś znakomitego i możnego szambelana na język niemiecki 18-go wieku.

Siedzi więc poczciwiec, daleki od świata i życia bakałarza w swym wązkim pokoju i zatapia, głuchą, przestraszoną myśl w płochem przypomnieniu damy dworu. Chciwy złota rycerz wchodzi przez okno, panna zaś, dziecko jeszcze

prawie, przypuszcza coś romantycznego. Czcigodny ojciec, jako spowiednik, okazuje się pobłażliwym względem grzechów, do których popełnienia dopuścił. Na schodach powabna markiza całuje ukochanego, o dziesięć stopni wyżej woła małżonek o lampę. Mnich i zakonnica, książę i lokaj, wieśniak i żołnierz, rycerz i mieszczanka biorą udział w swawolnym tańcu miłości; nawet przedmioty martwe są odurzone miłością, niebo odbrzmiewa śmiechem wesołym, a pełne wdzięku chochliki rzucają, wykrzykując, różnobarwne chusty na groby i pola walki. Cóż znaczy prawo, filozofja, przyszłość, religja! Czem dreszcz wieczności, wobec tej roześmianej orgji i jej niezliczonych kunsztów miłosnych?

To przecież dawno ubiegłe czasy, pomyślał w końcu Filip Unruh ze zgrozą. To kiedyś tak było, mogło tak być, bo były czasy barbarzyństwa, dzikie, nieobyczajne czasy. Dzisiaj świat się uspokoił; niema już takich przygód do oglądania. Każdy mężczyzna idzie uczciwie swoją drogą, kobieta każda mieszka skromnie w swym domu i panuje porządek. Dawno przebrzmiały te namiętności, tak wybujałe i niebezpieczne, myślał nauczyciel z politowaniem i był zadowolony, że należy do lepszego stulecia.

Obok tego jednak było coś nieokreślonego i podstępnego, co go gnębiło. Rozmyślaniami swemi chciał się tajemnie oszukać i wiedział o tem. Ekscelencja szambelan wybrał djabelski przedmiot dla swego kulawego pióra. Całą gromadą przychodziły i mijały obrazy i Filip Unruh spoglądał na nie, pełen wrogich uczuć. On, któremu wszystkie rzeczy wydawały się nietrwałe, jak śnieg, uczuł nagle ciężkie brzemię życia.

Wreszcie, zdało mu się, że dosyć już marzył. Zamknął okno, szedł jeszcze przez chwilę między ławkami szkolnemi, mimo mroku, z łatwością znajdując drogę i wyszukał swą sypialnię, aby się udać na spoczynek.

III.

W mieszkaniu starego profesora zebrała się spora gromadka ludzi, dostojników miejscowych i innych. Byli tam też tacy, którzy przyszli jedynie po to, aby ogrzać się w ciepłym pokoju. Komisarz sądowy był to tęgi mężczyzna o przenikliwym żołnierskim głosie. Przy przedmiotach tanich byl pobłażliwy, nawet łaskawy i dostojeństwo jego rosło w miarę tego, jak chęć kupna się zmniejszała. Doktór Maspero nabył biurko, burmistrz — tuzin pustych flaszek, przekupień — książki do nabożeństwa, „Kasyno" — dywan.

— Kronika! — zawołał chmurnie komisarz sądowy.

— Kronika dla Unruh'a! — żartował doktór.

— Kronika marchji Ansbach, — powiedział surowo komisarz, poczekał, aż się uspokoiły śmiechy i dodał wzgardliwie — Dwie marki na początek.

— Trzy marki, — wyszeptał nieśmiało Filip Unruh. Niektórzy obejrzeli się ze śmiechem, gdyż stał on przy tylnej ścianie. To poruszenie stropiło go, niewiadomo dlaczego. Wszystkie licytowane przedmioty miały pozór osobistości i wyglądały, jak członkowie jednej rodziny, którzy mają rozproszyć się po świecie. Smutek śmierci leżał na nich, zwłaszcza na czarnej skórzanej sofie, stojącej w kącie. Zdawało się, że siedzi na niej niewidzialny stary profesor i spogląda z markotnem obliczem na ten pstry, zniekształcony świat.

Falset wywołał po raz drugi obrażonym tonem cenę.

— Pięć marek, — powiedział ktoś, co tylko co wszedł. Wszyscy odwrócili się i miny stały się baczne i niezadowolone, gdy ujrzano nowego prowizora.

Filip Unruh zadrżał. Spojrzał na Apolonjusza Siebengeista i pomyślał z goryczą: „Bogaty Adonis". Dlaczego wybrał tę właśnie nazwę i dlaczego wydała mu się ona złośliwa, pozostało dla niego zagadką. Komisarz przyjął to oświadczenie z budzącem się zainteresowaniem.

— Dwa talary! — rzekł nauczyciel głosem cienkim i niepewnym.

Ludzie zaciekawieni, skupili się razem i przyglądali, jakgdyby przed nimi odbywała się walka kogutów. Nauczyciel uczuwał wstyd, jak ktoś, co wszczyna interes, którego dokończyć nie może.

— Trzy talary, — powiedział z chłodnym uśmiechem Siebengeist. Stał on oparty o słup, z obu rękami w kieszeniach futrzanego płaszcza, w niedbałej pozie światowca.

W Filipie Unruh zbudził się głuchy gniew. Jednak, jak wszyscy ludzie słabi, który się czują obrażeni lub skrzywdzeni, uczuł chęć wykazania przeciwnikowi łagodnie i logicznie swej krzywdy. Miał niejasne poczucie, że powinien podejść i powiedzieć temu człowiekowi, jak wiele zależy mu na posiadaniu tej kroniki i jak się ucieszył na myśl, że będzie mógł ją nabyć. Zwłaszcza chciał położyć nacisk na motywy swej radości i oczekiwania. Tymczasem nienawidził i gardził jednocześnie tym intruzem i pod naporem tych uczuć zawołał dziesięć marek. Doktór zrobił minę zachwyconego satyra, komisarz zaś z zadowoleniem skinął głową i zażył hałaśliwie tabaki z bronzowej takakierki. Jednak inne twarze zobaczył nauczyciel skierowane ku sobie z wyrazem, którego wyzywające szyderstwo przestraszyło go i, gdy prowizor niedbale wymówił wyższą jeszcze cenę, ciężkim krokiem opuścił salę, z uczuciem człowieka, na którego wydano niesprawiedliwie wyrok śmierci.

Był posępny dzień zimowy; wszystkie szyby pokryte były lodowymi kwiatami. Śnieg leżał gęsty i czysty, oślepiając oczy nauczyciela. Na parkanie, którego pale nosiły białe, okrągłe kaptury, siedziały trzy wróble i z zakłopotaniem mrużyły oczy przed przechodniem. Ze szkoły dochodził ogłuszający hałas. Przed drzwiami sklepu stał piekarz i, uśmiechając się żartobliwie, patrzył w tamtę stronę. Kunegunda, gospodyni, towarzyszyła mu po schodach i chicho-

tała niemądrze. Naraz uśmiechnął się uprzejmie, jakby prowadził z kimś bardzo przyjemną rozmowę, ale wydało się nauczycielowi dziwnem i niegrzecznem, że ten ktoś pozostał niewidzialnym w przestrzeni.

Sala szkolna zmieniła się na pole walki. Rozbrzmiewały okrzyki wojenne, a w powietrzu fruwały przedmioty, które niegdyś poświęcone były innemu użytkowi. Czarna tablica, przekształcona w mapę sztabu generalnego, pokryta była hieroglifami. Kawalerja opanowała cały globus, mały demoniczny chłopaczek siadł na biegunie północnym i płazował wroga obydwiewa rękoma. Kilka amazonek zajęło okolice katedry i śpiewało pieśni wojenne. Nauczyciel stanął na progu, nabrał oddechu i rzucił w przestrzeń pogróżkę straszliwą. Sześćdziesiąt sześć par oczu, pełnych trwogi i poczucia winy, spoglądały na niego. Wszystkie dzieci usiadły na swych miejscach z chłodem odpowiednim do sytuacji. Oczekiwały niemiłosiernego śledztwa. Malec zeskakując z bieguna północnego, podarł sobie spodenki na osi ziemskiej i siedział trupioblady. Tymczasem nauczyciel zaczął dyktować bajkę p. t. „Chomik i jeż", historję, w której surowo zgromiona była brzydota skąpstwa. Dzieci były ogromnie rozczarowane. Obeszłyby się chętnie bez historji chomika dla wstrząsającej manipulacji procesu, który powinien był nastąpić po południowej walce. Niechże zdarzy się jeszcze coś niezwykłego, coby przerwało przyjemnie dalszy ciąg usypiającego dyktanda. Drzwi otworzyły się z hałasem i wszedł Apolonjusz Siebengeist. Pod pachą trzymał grubą książkę, poszedł prosto do pulpitu, złożył na nim foljał i powiedział do Filipa Unruh, ściągając brwi:

— Przynoszę panu pańską kronikę. Chciałem uczynić z niej panu podarunek. Mam nadzieję, że pan niema nic przeciw temu? Ukłonił się z wykwintną prostotą, choć z nieśmiałem spojrzeniem i odszedł.

Niektóre dzieci zaśmiały się; szczególniej czarnowłosa panna Sützmilch z trzeciej ławki, rozweseliła się ogromnie. Z purpurowo-czerwoną twarzą, nie mogła powstrzymać się od śmiechu za swym fartuszkiem.

Filip Unruh był zmieszany i zawstydzony. Ze zwykłą surowością, która była ważnym środkiem pedagogicznym, nakazał spokój i stanął przy oknie. Jest coś pięknego w zimie, myślał z tem ciepłem wewnętrznem, które rodzą śmiałe nadzieje. Na dworze może być wicher, a ja stoję tu i przyglądam się. Dokoła spokojnie i sennie. Jakże pięknie jest gdy się zmierzcha, a ja wędruję po śniegu, po sinym śniegu, cicho, bezszelestnie, jak duch.

Z pieszczotliwem staraniem włożył kronikę do szuflady biurka a wkrótce potem wybiła godzina jedenasta. Sześćdziesięcioro sześcioro dzieci odeszło i nauczyciel przygotował się do przechadzki. Na rogu, koło kasyna, stał Apolonjusz Siebengeist i gawędził z jakimś człowiekiem, nalepiającym na bocznej ścianie domu wielkie czerwone plakaty. Filip Unruh ujął kapelusz, starając się umyślnie nadać swemu ukłonowi koleżeński charakter i życzliwy.

— Stajemy się wielkiem miastem, — mówił żywo Siebengeist, — dostajemy teatr. I jaką niezwykłą sztukę zapowiadają!

Nauczyciel przystąpił zdziwiony, chociaż czytał już o tem w gazecie. Dmuchnął w wąsa który nieco stężał od zimna i zatarł ręce.

— Powiedzcie-no, ojcze, — zwrócił się Siebengeist do człowieka nalepiającego plakaty, — czy macie tam ładne aktorki?

Człeczyna przybrał wspaniały wyraz twarzy:
– Zazwyczaj angażuję kwiaty naszego stanu, — odpowiedział krótko i majestatycznie.

— Ależ, ojczulku, czy wy jesteście dyrektorem? — zawołał, składając ręce Siebengeist.

Aktor potwierdził.

— Nazwisko moje jest Schmalich, — wyrzekł, marszcząc czoło, z miną, znamionującą człowieka niezwykłego.

Bardzo zainteresowany, obejrzał Filip Unruh naklejony afisz. „Melchior, czyli cierpienia starości" — taki był tytuł sztuki, obrazu z życia, w dziesięciu odsłonach. Niektórzy ludzie zatrzymywali się i spoglądali ciekawie na czerwony papier. Dyrektor wziął swój garnek z klejem i oddalił się z uroczystym ukłonem. Nauczyciel również zawrócił do odejścia, ale ledwie przeszedł kilka kroków, zobaczył obok siebie Siebengeista. Prowizor zaczął mówić, jakgdyby spragniony słuchacza.

Narzekał na gniazdo, w które go rzucił los nieszczęsny; wyśmiewał się z nieba i ziemi, i coś zgrzytliwego, tryskającego, ślizkiego było w nim. Tysiączne drgania przechodziły przez jego twarz. Oczy jego czepiały się jednocześnie tysiąca punktów. Nauczyciel czuł się nieswojo, jak obok niebezpiecznej maszyny. Siebengeist tymczasem zaproponował daleki spacer, opierając się na tem, że była środa.

— Całe popołudnie przed panem, — powiedział. — Wyjdźmy trochę z tego śniegu.

Filip Unruh nie ośmielił się odmówić. Wogóle nie mówił on nigdy „Tak", ani „Nie", a w tym wypadku był przecież zobowiązany do spełnienia życzeń. Siebengeist gawędził dalej, żartował z zamiłowania nauczyciela do książek i ogólnie mówił niszczycielsko o uczoności.

— Czego pan chce właściwie wraz ze swemi nazwiskami i cyframi? Niech mi pan objaśni. Historja? Tak? Historja — to stara baba. Wszystko, co było nic niewarte. Ten komedjant ze swym teatrem ważniejszy jest od wszystkich Mojżeszów, Marków Aureliuszów, Robespierrów i Lassalów. Spódnica mojej kochanki znaczy tyle, co całe państwo babilońskie. Naturalnie, dla was nic nie znaczy tysiąc lat, podobnie jak godzina.

Nauczyciel spoglądał z trwogą na drogę. Nie istniało dla niego nic bardziej przerażającego, niż takie mowy, których sens unikał mu, jak woda. Siła, szyderstwo i śmiałość w usposobieniu towarzysza czyniły go bojaźliwym, ja uczniaczka. Przez chwilę milczał Siebengeist, pogwizdując tylko. Białe i ciche ciągnęły się po-

la równinne. Nieokreślone dźwięki dochodziły z dali, zasnutej mgłą. Na gładkim śniegu widoczne były ślady wronich nóg i zajęczych skoków; stadko kuropatw dreptało na skraju lasu, wydając słabe jękliwe okrzyki. A brzmiało to niby wrzawa i szum, wśród otaczającego ciężkiego, niezmiernego wkoło milczenia.

— Czy pan jest zaręczony? — spytał Siebengeist tomem sędziego śledczego.

— Nie?

— A więc może zakochany?

Nauczyciel pobladł i niechętnie potrząsnął głową. Siebengeist zaśmiał się swobodnym śmiechem dziecka.

— Ale kiedyś był pan przecież zakochany? Wie pan co, kumie, możnaby wziąć pana za eunucha, gdyby nie wiedziano, że pan jest niemieckim molem książkowym. Naturalnie, gardzi pan miłością, o ile nie jest ona uwieczniona na papierze. Czy słyszał pan coś o niejakiej Ninon de l'Enclos? Niezwykła kobieta? Całe pokolenia obdarzała miłością. Byłem wtedy księciem gaskońskim i niekiedy w nocy całowałem nieśmiertelne wargi. Odtąd zgorzkniał mi świat cały. Kumeczku, co się dziś kobietą nazywa, warte jest zamarynowania. Nie poznałem ani jednej, w którejby nie siedziała głupia gęś, albo Ksantypa. Są złe, marne, tchórzliwe, zarozumiałe, siedzą wciąż w sklepach z galanterją i z namiętnością oddają się kłamstwu. Tymczasem w beletrystyce czytamy o jaśnie oświeconych, idealnych postaciach. Ostrzegam pana przed tem, kumeczku. Przez tę literaturę przechodzi skaza. Niech pan patrzy — człowiek taki, jak ja, książę z pochodzenia, siedzę na mieliźnie i nie wiem, co począć ze swemi uczuciami, chodzę tęsknie po świecie i wypatruję oczy za przedmiotem miłości. Teraz więc naznaczam sobie jeszcze pewien termin, a później wybieram jakąś przyjemną i niebolesną truciznę. Znów zaśmiał się swoim dziecięcym śmiechem.

Nauczyciel otarł sobie pot z czoła. To chyba sen, pomyślał strapiony i stroskany i popatrzał na tor kolejowy, gdzie przejeżdżał właśnie pociąg pośpieszny. Tak się cieszył na myśl o godzinach wieczornych, o swej kronice, o swem cichem ustroniu. Prowizor tymczasem zaprosił go z sobą na posiłek do gospody w Altenmuhrze i nauczyciel nie śmiał odmówić, bardziej jeszcze nie śmiał, niż poprzednio. Siebengeist jednak stał się niezwykle milczący, zebrał tylko tu i tam nieco śniegu i rzucał go na szczyt drzewa, aż zatrzeszczało. Potem zaśmiał się i ucieszył serdecznie.

(d. c. n.)



VINCENTE BLASCO IBANEZ.

JAŁMUŻNA.

(Z hiszpańskiego przełożył Z. M.)

(Dokończenie).

Ledwo hrabia z kartami w ręku usadowił się przy stoliku, naprzeciwko któregoś z owych przyjaciół, zdawać się mogło, że nagle fortuna dmuchnęła mu między oczy; partnerzy jego przegrywali wytrwale, zapraszając go do gry co wieczór, jakgdyby owa partja *écarté* była jakąś nieuniknioną koniecznością. Wygrane nie mogły wprawdzie wzbogacić hrabiego, czasem dziesięć ludwików, czasem — dwadzieścia pięć; zdarzyło się kilkakrotnie, że Sagreda wstawał od gry z czterdziestoma złotemi monetami w kieszeni. Ale dzięki tym dochodom, prawie codziennym, mógł wypełniać luki swojej pańskiej egzystencji, która groziła ruiną, a co więcej, mógł otaczać swą przyjaciółkę atmosferą miłosnego dobrobytu, odzyskując jednocześnie wiarę w lepszą przyszłość. Kto wie, co go jeszcze czekać mogło?..

Ujrzawszy w jednym z salonów wice-hrabiego de la Tremisinière, Sagreda uśmiechnął się doń przyjaźnie.

— Zagramy partyjkę?

— Do usług, kochany *Velasquezie*.

— Po pięć franków za każde siedem punktów, bądźmy skromni. Jestem pewny wygranej. Szczęście sprzyja mi ostatnimi czasy.

Rozpoczęli grę przy dyskretnem świetle lampek elektrycznych, pośród wytwornego milczenia puszystych kobierców i ciężkich portjer.

Sagreda wygrywał nieustannie, jakgdyby los przyjazny postanowił, że z najtrudniejszych spotkań będzie wychodził zwycięsko. Przypadały mu w udziale złe karty, a jednak stale wygrywał. Cóż z tego, że nie miał atutów i że jego karty były złe. Karty jego przeciwnika były jeszcze gorsze i cokolwiek kładł na stole, wiodło mu się zawsze niepospolicie, cudownym jakimś zbiegiem okoliczności.

Miał już przed sobą dwadzieścia pięć ludwików.

Jeden z bywalców klubu, który włóczył się, znudzony, od sali do sali, zatrzymał się koło grających, zaciekawiony partją. Zrazu jął patrzeć w karty Sagredy; po chwili jednak przystanął za krzesłem wicehrabiego, który zdawał się jakgdyby zaniepokojony tem sąsiedztwem.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał nagle ów nowy przybysz. — Wszakże pan gra przeciw sobie samemu, wicehrabio. Odrzuca pan wszystkie atuty i zatrzymuje najgorsze karty. Cóż za pomysły!

Nic więcej nie mógł powiedzieć. Sagreda położył swe karty na stole. Był blady, jakąś niemal zielonkawą bladością. Jego oczy nadmiernie otwarte, zwróciły się w stronę wicehrabiego. Później powstał.

— Zrozumiałem — rzekł zimno. — Panowie pozwolą, że ich opuszczę.

Następnie, nerwowym ruchem garstkę złotych monet popchnął w stronę swego przyjaciela.

— To należy do pana.

— Ależ, kochany *Velasquezie!..* Ależ, Sagreda!.. Niechże mi hrabia pozwoli, że wytłumaczę mu!..

— Dość tego, panie. Powtarzam, że zrozumiałem.

W jego oczach mignęło jakieś ostre światełko, przeszedł przez nie ten sam błysk, który jego przyjaciele widywali już w pewnych chwilach, wówczas, kiedy po krótkiej wymianie słów, archaicznym ruchem wyzywającym, podnosił nagle w górę rękawiczkę.

Lecz tym razem ów gest złowrogi, trwał chwilę tylko. Wnet Sagreda uśmiechnął się, prawie że przyjaźnie, ale w taki sposób, że ciarki przeszły obecnych.

— Dziękuję najmocniej, wicehrabio. Są to przysługi, których nigdy się nie zapomina!... Raz jeszcze wyrażam panu moją niezmierną wdzięczność.

Skłonił się iście wielkopańskim ruchem. Później, odszedł, wyprostowany, jak za najpiękniejszych dni swojej świetności.

*
* *

Z futrem otwartem na niepokalanej białości gorsie koszuli, hrabia de Sagreda kroczy przez bulwary. Ludzie wychodzą z teatrów; widać kobiety, które fruwają z jednego chodnika na drugi; mkną automobile, z oświetlonem wnętrzem, pozostawiając za sobą jakgdyby wizję przelotną piór strusich, klejnotów i białych dekoltów; roznosiciele gazet napełniają ulicę wrzawą, a gdzieś w górze zapalają się i gasną ogromne reklamy świetlne.

On — grand hiszpański, on — hidalgo, potomek szlachetnych rycerzy z Cyda i Ruy Blasa, idzie przeciw prądowi, łokciami torując sobie drogę, chcąc iść przed siebie, aby prędzej, nie wiedząc dokąd idzie, nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje.

Zaciągać nowe długi!.. Niechaj... Szlachcica długi nie plamią. Ale przyjmować jałmużnę?.. W chwilach, kiedy obsaczały go najczarniejsze obawy, nigdy nie zadrżał przed myślą, że gdy będzie zrujnowany doszczętnie, może spotkać się z pogardą najbliższych, utraci wszystkich przyjaciół, zejdzie do warstw najniższych i zginie wśród tłumu bezimieńców, którzy znajdują się poza nawiasem społeczeństwa. Ale wzbudzać dokoła współczucie!..

Pocóż było grać komedję? Ci najbliżsi, którzy uśmiechali się doń dzisiaj, jak ongi, zgłębili tajemnicę jego ubóstwa i porozumiewali się, wiedzeni współczuciem, aby pod pozorem gry w karty, kolejno dawać mu jałmużnę. Podobnie jak oni, zgłębili tajemnicę inni znajomi i nawet lokaje, którzy kłaniali mu się jeszcze ze zwykłem uniżeniem. A on, przez wszystkich oszukany, chodził jak dawniej po świecie, z miną wielkiego pana, nieugięty i uroczysty w swojej wygasłej potędze, jak trup owego wodza legendowego, który po śmierci jeszcze myślał wygrywać bitwy, siedząc na swym wierzchowcu.

Żegnaj, hrabio de Sagreda! Spadkobierca władców feodalnych i wicekrólów może być bezimiennym żołnierzem w legji złożonej z zatraceńców i bandytów; może być, w dziewiczych krajach, awanturnikiem, który zabija dla chleba; może nawet znieść, nieustraszony, hańbę swego imienia i swych tradycji rodowych wobec trybunału przysięgłych... Ale żyć ze współczucia przyjaciół?!..

Żegnajcie na zawsze, ostatnie złudzenia! Hrabia zapomniał o swej towarzyszce, która oczekiwała go w restauracji nocnej. Zapomniał o niej tak doszczętnie, jakgdyby nie istniała wcale. Nie myśli teraz o tem, co, przed kilkoma godzinami było ozdobą jego życia. Idzie przed siebie, sam na sam ze swym wstydem i każdy z jego kroków zdaje się wydobywać z ziemi coś, co umarło; jakieś głosy przodków, troski rasowe, uczucia familijne, jakaś duma, czy pycha, mięszanina honoru i okrucieństwa—wszystko co drzemało w głębi jego istoty, budząc się teraz, niepokoi jego łono i mąci myśli.

Jakże śmiać się musieli za jego plecami, z litosnem współczuciem!.. Teraz idzie przed siebie szybciej, jakgdyby już wiedział kędy skierować ma swe kroki, a nieświadome wzruszenie każe mu szeptać ironicznie, jakby mówił do kogoś, podążającego śpiesznie za nim:

— Dziękuję! Stokrotnie dziękuję!

Nad ranem dwa wystrzały rewolwerowe wywołują popłoch między mieszkańcami jednego z hoteli, znajdujących się w pobliżu Gare Saint-Lazare.

Służba znajduje w numerze mężczyznę we fraku, z przestrzeloną skronią, z której krew kapie kropla po kropli i wije się, jak liszka po wzorzystym dywanie.

Jego oczy czarne, matowe, tchną jeszcze życiem. Nic w nich nie pozostało z lubej postaci towarzyszki. Jego myślą ostatnią, którą śmierć przecięła, była myśl o przyjaźni, tak okrutnej w swoim żalu; myśl, o obrazie braterskiej, owocu wspaniałego i lekkomyślnego współczucia.



Z postępów wiedzy i pracy.

PRZELEWANIE KRWI.

Nie ucichły jeszcze dotąd echa śmierci słynnej śpiewaczki A. D. Wialcowej, śmierci która nastąpiła skutkiem ubóstwa krwi w ciałka czerwone; nie pomogła chorej operacja przelania krwi z żył jej męża, dokonana przez bawarskiego chirurga prof. Enderlena. Operacja ta, wprawdzie nieudana, wywołała nielada sensację i zaciekawienie. Większość uważa przesadzanie tkanki zdrowego człowieka na chorego—za mistyczny przesąd średniowieczny. I do pewnego stopnia mniemanie to jest usprawiedliwione.

Operacja przelewania krwi, jest jednym z najstarszych chirurgicznych zabiegów, jakie zna nauka, ale dotychczas nie zdołano osiągnąć jej praktycznego zastosowania, w wypadkach, kiedy chory potrzebuje szybkiego zastąpienia obfitej utraty krwi.

Wyniki doświadczeń przelewania krwi, chociaż nie osiągnęły właściwego celu, w każdym bądź razie są niezwykle cenne dla medycyny, i obecnie, dzięki tym doświadczeniom, rozporządzamy tak potężnym środkiem leczniczym, jakim jest „seroterapja“ (leczenie za pomocą surowic). Należy zaznaczyć, że operacja przelewania krwi, była już prawdopodobnie, znana w starożytności. Właściwie operację tę oparto na podstawach naukowych, dopiero po odkryciu wielkiego koła krwioobiegu przez Wiliama Hrvey'a. Poźniej angielski duchowny Potters, poraz pierwszy zrobił doświadczenie przelania krwi z jednego zwierzęcia do drugiego. Doświadczenie to powtarzali potem: Clarc, Roberts i Boyle; wszystkie operacje dokonane były na zwierzętach (przeważnie psach).

W 1667 r. po całym szeregu udatnych prób przelewania krwi zwierzęcia jednego gatunku do zwierzęcia gatunku innego, słynny paryski chirurg Denis zdecydował się wykonać pierwsze doświadczenie przelewania krwi zwierzęcej do żył człowieka. Do weny na ręku piętnastoletniego chłopca, Denis przelał 9 uncji krwi z sennej arterji jagnięcia. Operacja ta udała się i spowodowała liczne naśladownictwa, które skończyły się bardzo smutno. Paryski fakultet medyczny uznał za stosowne, urzędowo zabronić dokonywania operacji, ale pomimo tego, ponawiane były liczne jej próby w Niemczech, Holandji i Włoszech, dopóki dekret papieski ostatecznie nie zabronił przelewania krwi.

Badania znakomitego histologa Bischa zasadniczo zmieniły pogląd na istotę i technikę tej operacji. Bischa wskazywał na fizjologiczne różnice pomiędzy krwią żylną i tętniczą i na podstawie doświadczeń dowiódł, że tylko krew tętnicza może podtrzymywać gasnące życie.

Ale dopiero w XIX wieku, po badaniach Jana Müllera, Majandi, Brown-Sequar'a i innych sprawę przelewania krwi postawiono na racjonalnym gruncie. Wszechstronne kliniczne badania przedewszystkiem ustaliły fakt, że przelewanie krwi zwierzęcej do człowieka, nie może być dokonywane z wielu przyczyn. Tego rodzaju operacje wywołują uduszenie i śmierć. Z początku przypuszczano, że przyczyną tego, jest ścinanie się krwi, lecz badania słynnego fizjologa Landois dowiodły, że właściwy powód zawiera sią w szkodliwem działaniu obcej surowicy na ciałka krwi, które sklejają się w niej i rozpuszczają. Przytem stwierdzono, że szybkość działania surowicy znajduje się w stosunku odwrotnym do stopnia zoologicznego powinowactwa zwierząt poddawanych doświadczeniom. Wręcz przeciwnie dzieje się przy wlewaniu krwi do organizmów tego samego gatunku; zawierająca się we krwi surowica nie wywiera żadnego wpływu na ciałka krwi. Pomimo jednak nieobliczalnych korzyści, jakie tego rodzaju operacja może przynieść choremu, któremu grozi np. śmierć od uduszenia — dotychczas lekarze uciekają się do niej niechętnie, uważając ją za krok wielce ryzykowny.

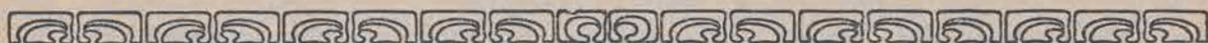
Przedewszystkiem, krew wypływająca z naczyń *gospodarza*, posiada własność ścinania się, za dotknięciem obcego ciała lub tkaniny. Jeżeli najmniejszy skrzep takiej krwi dostanie się do krwionośnego naczynia osobnika, któremu krew się wlewa—wówczas może powstać *zatkanie* tego naczynia, niekiedy bardzo ważnego, co powoduje zazwyczaj groźne objawy (paraliż, duszenie i t. d.) a niekiedy nawet — śmierć.

Prócz tego krew każdego osobnika posiada pewne indywidualne cechy (nie mówiąc już o procesach chorobotwórczych, które w niej mogą zachodzić) i „zaszczepianie“ jej nowemu organizmowi — jest w skutkach swych zgoła problematyczne. Ostatnio, dzięki udoskonaleniom techniki operacyjnej i nowym metodom badania krwi, — niebezpieczeństwo jest znacznie mniejsze. Przedewszystkiem nowe metody badania krwi umożliwiają szybkie i ścisłe określenie jej pewnych właściwości oraz rozpoznanie, czy nie zachodzą w niej pierwiastkowe procesy chorobotwórcze, jak np. syfilis. Powtóre technika operacyjna, i częściowo udoskonalenie techniki zszywania

naczyń pozwalają obecnie na dokonywanie *bezpośredniego* przelewania krwi z jednego naczynia w drugie. Istnieje obecnie kilka różnych metod tej operacji, którą najczęściej, stosuje się w wypadkach silnej małokrwistości. Różnica tych metod polega na tem, że niektórzy chirurdzy, dokonywają przelewania krwi tętniczej, inni krwi żylnej. W istocie przelewanie krwi tętniczej daje o wiele lepsze rezultaty, niż przelewanie krwi żylnej.

Technika operacji, została ostatnio bardzo uproszczona, dzięki słynnym pracom prof. Carrela. Metoda Carrela jest następująca: Preparuje się i rozcina żyłę u osobnika, który „daje" krew. Naczynia te, z początku ściśnięte specjalnymi szczypczykami—wstawia się w niewielki skrawek zgęszczonej w formalinie i nasyconej parafiną, arterji cielęcia. Arterja cielęcia stanowi sztuczne spoidło naczyń, które stykają się z sobą w ten sposób, że krew bezpośrednio przepływa z jednego naczynia w drugie. Ilość przelewanej krwi reguluje się za pomocą specjalnego instrumentu, który określa siłę ciśnienia krwi w naczyniach. Po operacji następuje zwykłe przewiązanie naczyń. Dalszy ciąg dla osobnika, któremu wlano krew jest kwestją „przyjęcia się" krwi, co się wyjaśnia dopiero po kilku dniach. Co się tyczy osobnika, dającego swą krew, to niebezpieczeństwo grozi mu wyłącznie w chwili dokonywania operacji. Niewielkie straty krwi zazwyczaj mijają bez śladu. Lecz jeśli człowiek odrazu traci $1/3$ — $1/2$ swej krwi — następuje natychmiastowa śmierć, spowodowana paraliżem ośrodków mózgowych. Jeżeli zaś nie zachodzą żadne komplikacje — osobnik szybko nabiera sił i anemja znika stopniowo.

D. L.



KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Hodowla kryształów.

Jedną z najmilszych naukowych rozrywek jest hodowla kryształów, dająca niesłychanie cenne i pouczające wiadomości tyczące się wzrostu tych zadziwiających ciał. Coprawda, aby hodowla wydała dobre rezultaty, trzeba mieć ogromnie dużo cierpliwości. Do hodowli kryształów, najbardziej nadają się roztwory kwasków, gdyż posiadają one bardzo ważną dla poglądowości doświadczenia, własność wytwarzania różnobarwnych kryształów. Otóż bierze się zwykły kwasek, dający przezroczyste kryształy, oraz kwasek chromowy, z którego można otrzymać ciemne kryształy, z wyglądu przypominające kwiat granatu. Kwaski rozpuszczamy w wodzie, tak, aby można było otrzymać mocny czyli skoncentrowany roztwór. W tym celu polewamy kwaski wrzątkiem, co powoduje ich szybkie rozpuszczanie; poczem dodajemy kwasków póty, dopóki nie przestaną się one rozpuszczać. Podczas rozpuszczania kwasków, woda stopniowo się oziębiała. Pozostawiamy ją teraz na parę minut, aby się oziębiła do temperatury pokojowej. Przyczem część rozpuszczonych kwasków osadza się na dnie w postaci drobnego krystalicznego proszku, gdyż woda jest już zbyt oziębiona, aby mogła całkowicie rozpuścić wszystkie kwaski. Kiedy się już woda dostatecznie oziębi, zlewamy ją z wytworzonego kryształowego proszku — i wtedy otrzymujemy roztwór potrzebny do hodowli kryształów. Roztwór wlewamy do płaskiej szklanki i stawiamy go w chłodnem miejscu; przedtem jednak zawieszamy w szklance kilka cienkich jedwabnych nitek, w ten sposób, aby się one zaledwie pogrążały w wodzie. Wówczas kwaski znowu się poczną osadzać. Ponieważ różnica temperatury nie jest zbyt duża— osadzenie odbywa się bardzo powoli. Im z mniejszą szybkością tworzą się kryształy, tym są większe i piękniejsze. Otrzymujemy wówczas ładne kryształy w kształcie podwójnej piramidy.

Kryształki częściowo osadzają się na dnie szklanki i częściowo na jedwabnych nitkach. Chcąc, aby kryształy rosły dalej, należy wybrać najpiękniejsze okazy i włączyć je do zapasu kwasków. Raz jeszcze przygotowujemy skoncentrowany roztwór, zawieszamy w nim wybrane kryształy i znów stawiamy roztwór w chłodnem miejscu. Jeżeli nie mamy odpowiedniego chłodnego miejsca, to przygotowany za dnia roztwór można na noc postawić na oknie i w ten sposób spożytkować nocny chłód. Po niejakim czasie, zauważymy, że kryształy znacznie urosły. Kryształy, zawieszone w roztworze, rosły równomiernie, inne narastały we wszystkich płaszczyznach, z wyjątkiem tej, którą dotykały się dna. Należy je teraz odwrócić, ażeby zwiększyła się również owa płaszczyzna spodnia, i aby w ten sposób otrzymać kryształ w kształcie symetrycznym. Postępując w ten sposób nadal, po kilku dniach otrzymujemy istotnie piękne i duże kryształy. Przy wielkim zapasie cierpliwości, można „wyhodować" okazy wielkości głowy ludzkiej, a nawet jeszcze większe.

Ser roqueforcki, chwalony jeszcze w starożytności przez



Wieś Roquefort z jej piwnicami.

dukowany bywa dziś zupełnie w ten sam sposób, jak przed dwoma tysiącami lat. Z pierwotnego, ubocznego zarobku włościan miejscowych stał się dziś przedmiotem wielkiego kwitnącego przemysłu, posiłkującego się najnowszemi zdobyczami techniki i zaopatrującego świat cały w ów tak bardzo poszukiwany produkt francuskiej wioski. Dziesięć miljonów kilogramów sera, wartości 35 do 40 miljonów franków, wywożone corocznie z Roquefortu, nie mogą, rzecz jasna, stanowić produkcji tylko tej wioski, liczącej 900 mieszkańców. Jest to produkcja 400 fabryk, funkcjonujących w okolicach Roquefortu, w promieniu 80 kilometrów. Ale wszystko, co fabryki te wytwarzają, sprowadza się przedewszystkiem do tej wioski, gromadzi i przechowywa w jej sławnych piwnicach, w których ser dopiero osiąga odpowiedni stopień swej dojrzałości i smaku. Te oświetlone elektrycznością piwnice z wspaniałemi urządzeniami do oziębiania powietrza, wentylacji i t. p. z elektrycznemi windami, założone są w skałach kredy jurajskiej, wysokich na przeszło 100 metrów i składają się z obszernych a długich galerji, miejscami mieszczących się piętrowo nad sobą w sześciu kondygnacjach. Same ich lodownie są tak wielkie, że w nich mieści się całoroczna produkcja, nie wypełniając ich zupełnie. Rysunek nasz przedstawia widok na wieś Roquefort, w departamencie Avey-Plinjusza starszego, jako „najcenniejszy ser w Rzymie", proron we Francji, od strony owych skał, w których wykute są te galerje piwniczne. Ser requeforcki jest tłustym serem owczym. Do rocznej produkcji potrzeba 41 miljonów litrów mleka, dostarczanych przez pięćset tysięcy gospodarstw mlecznych od grudnia do czerwca. Mleko to poddane zostaje filtrowaniu, potem zwarza się w ciągu $1\frac{1}{2}$ godziny i zadaje grzybkiem pleśniowatym, zwanym pędzlakiem (Penicillium glaucum), który wytwarza owe znane żyłki niebieskie. Odcień różowy pochodzi od pewnej bakterji (Tyrothrix).

Lampa do odróżniania barw.

Jak wiadomo w nocy przy świetle sztucznem nader trudno odróżniać dokładnie barwy i ich odcienie. Z tego powodu we wszystkich fabrykach, biurach, magazynach, w których mamy do czynienia z farbami, barwnymi materjałami i t. p., rozpoznawanie i sortowanie wyrobów czy materjałów kolorowych odbywać się musi przy świetle dziennem. Przyczyną, iż światło sztuczne daje fałszywe wrażenie barwy, jest to, iż stosunek różnych promieni widmowych w takim świetle, jest procentowo inny, aniżeli w świetle słonecznem. Widmo elektrycznej lampy łukowej, dającej światło najbardziej do słonecznego zbliżone, zawiera więcej promieni

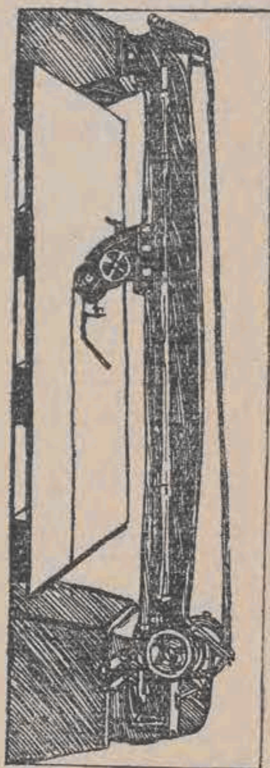


Lampa do odróżniania barw.

czerwonych, a mniej niebiesko-zielonych, aniżeli widmo słoneczne. Powszechne Tow. El. skonstruowało specjalną lampę łukową z szybą szklaną niebieską, rzucającą ku dołowi światło, bardzo zbliżone do światła dziennego i dającą możność dokładnego odróżniania barw. Lampę taką przedstawia oboczny rysunek.

Piła karborundowa.

Do piłowania marmuru, granitu i innych kamieni, jak ró-



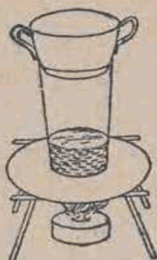
Piła karborundowa.

wnież porcelany, szkła i t. p. używane były dawniej piły okrągłe ze stwardniałej stali, a ponieważ takie piły ulegały szybko stępieniu, przeto nasadzano na nie drobne djamenty, co rzecz jasna niezmiernie powiększało koszty produkcji. obecnie wyrabiają takie piły z karborundu (związek węgla z krzemem), który przy niewysokiej stosunkowo cenie, odznacza się twardością, nie o wiele ustępującą twardości djamentu. Piły te z początku miały znaczne wady i często pękały. W nowszych jednak czasach weszły w użycie piły karborundowe, doskonale odpowiadające swemu przeznaczeniu. Jedną z takich pił przedstawia nasz

rysunek. Właściwa piła w niej składa się z okrągłej tarczy stalowej, objętej krążkiem karborundowym, wskutek czego tarcza taka daje się łatwiej scentrować i nie pęka.

Sztuczny deszcz.

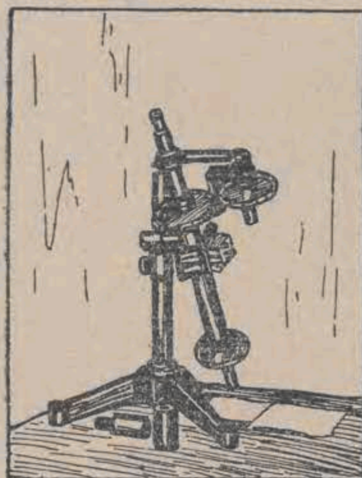
Nie każdy z pośród naszych czytelników uświadamia sobie, w jaki sposób powstają chmury i deszcz. Przytoczone poniżej proste doświadczenie poglądowo, w małej skali, wykazuje cały proces opadu atmosferycznego. Aby doświadczenie się udało, należy wziąć cienką szklankę o niezbyt grubem dnie, gdyż wskutek nierównomiernego rozchodzenia się ciepła, naczynie może pęknąć. Do szklanki nalewamy $^1/_5$ zwykłej wody, dodając do niej nieco spirytusu (mniej więcej $^1/_3$ ilości wody). Poczem szklankę nakrywamy szczelnie porcelanową filiżanką. Można także szklankę pokryć zwykłym spodkiem. Na ruszcie spirytusowej lampki kładziemy azbestowy krążek, na którym ustawiamy szklankę, przykrytą filiżanką (lub spodkiem). Szklankę ogrzewamy powoli, na małym płomieniu. Po paru minutach gdy szklanka napełni się parą, zdejmujemy ją z krążka i stawiamy na stole. Stopniowo filiżanka się oziębi, a znajdująca się pod nią, t. j. w szklance—para wodna zgęści się i utworzy maleńką chmurkę. Zaczem rozpocznie się opad drobnych kropelek wody.


Aparat do otrzymywania sztucznego deszczu.

Jeżeli nalejemy do porcelanowej filiżanki nieco zimnej wody—to chmurka utworzy się znacznie prędzej i będziemy mieli prawdziwą „burzę w szklance“ wody“. Wogóle chmury tworzą się w wyższych warstwach atmosfery, ponieważ warstwy te są chłodniejsze i nasycają się mniejszą ilością pary wodnej. Kiedy chmury natrafiają na zimniejsze jeszcze prądy powietrzne, to ich drobne kropelki zbijają się w większe krople i spadają na ziemię, w postaci deszczu. Jeżeli zgęszczenie odbywe się w temperaturze niższej od 0—to powstają lodowe igiełki — i poczyna padać śnieg.

Chromoskop.

Taką nazwę nadał dr. Arons wynalezionemu przez niego przyrządowi do oznaczania barw, który przedstawiamy na naszym rysunku. Jak wiadomo, każdy człowiek może z niejaką pewnością i zrozumiale dla innych nazwać tylko 7 barw głównych, oraz białą i czarną. Każda barwa posiada jednak mnóstwo odcieni, które już nazw nie posiadają, tak, że np. fabrykant, otrzymujący zamówienie na materjał barwy blado zielonej, nie wie, o jaką właściwie barwę chodzi, gdyż blado zielonych odcieni, a jednak silnie się różniących, może być bardzo wiele. Jeszcze gorzej rzecz się ma, gdy chodzi o barwy mieszane, np. czerwono-bronzową, czy różowo-brunatną, które każdy inaczej nazywa. Z tego powodu zagranicą powoływane bywają całe komisje, pracujące nad ustaleniem nazw dla barw i ich odcieni. Przyrząd d-ra Aronsa w znacznym stopniu sprawę rozwiązuje na innej drodze. Przyrząd ten składa się z wprawionych w rurkę mosiężną t. zw. pryzmatów Nicola, pomiędzy które możemy wsuwać kolejno różnej grubości cienkie płytki kwarcowe, jak w polaryzatorach. Gdy się przez taki przyrząd patrzymy przy świetle dziennem na białą płytę porcelanową, widzimy ją zabarwioną kolejno najrozmaitszymi odcieniami barw, bardzo stopniowo się zmieniającymi, stosownie do tego, jak jeden z tych pryzmatów (t. zw. analizator) skręcimy w stosunku do drugiego i jakiej grubości blaszkę kwarcową wsuwamy. Gdy więc powiem, że chodzi mi o barwę, którą można zobaczyć w chromoskopie takim, używszy blaszki kwarcowej 15 milim. grubości i skręciwszy pryzmat na 33° (tarcza z podziałką na stopnie i skazówką przytwierdzona jest do przyrządu), to każdy posiadający taki aparat w ciągu 2 minut może w nim daną barwę zobaczyć. Sposób oznaczenia jest bardzo prosty, np. 15 mm. $\times$ 0° oznacza barwę blado-lila-białą, 15 mm. $\times$ 44° blado-żółto-różowo-białą i t. d. Dr. Arons wykazał, iż tą drogą można z największą ścisłością oznaczyć 510,300 odcieni barw, tak iż każdy może znaleźć wskazany mu odcień barwy zasadniczej lub mieszanej z całą dokładnością.


Chromoskop.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa”. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.